Nr. 28. Kraków, dnia 10 lipca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

HOŁD GRUNWALDOWI.

Do prastarej stolicy Polski, do stolicy Piastów i Jagiellonów ściągają się tłumy z całej Polski. Na wezwanie krajowego Komitetu Grunwaldzkiego do święcenia dostojnej rocznicy przybywają delegacye i uczestnicy z Małopolski i Mazowsza, Litwy i Rusi, Śląska i Wielkopolski. Do swego grodu królewskiego nadchodzi cała Rzeczpospolita.

Jedna myśl i jeden duch napawa wszystkich.

Z uroczystą powagą stajemy wobec majestatu przeszłości, korni wobec wielkości, dumni chwałą a ufni w siłę wewnętrzną własną i zwycięstwo Prawdy.

Wierzymy w przyszłość naszą. Gromów tysiące waliły w nas bezustannie, a myśmy przetrwali wszystko, a z zmagań wyszliśmy jeszcze mocniejsi i jeszcze silniejsi. Mocą ducha i mocą kultury naszej umieliśmy się przeciwstawić obcym i tyle uzyskać, że nie rozpływamy się w ich organizmie, ani nie gnijemy, jak naród ginący.

Wespół z wszystkimi staje w obliczu Uroczystości Krakowskich także i TYGODNIK NARODOWY. Wespół z całym narodem łączymy się w hołdzie największym Wielkiemu Twórcy Unji polsko-litewskiej, Wielkiej Królowej, rozszerzającej granice naszego państwa, Wielkiemu Zwycięstwu, co utrwaliło potęgę Polski i ustawiło ją w szeregu pierwszych mocarstw europejskich, a przyszłości naszej nowe rozwarło drogi.

W uczuciach swoich jednoczy się naród cały: wszystkie warstwy i wszystkie dzielnice jednoczą się wobec Rocznicy: a przychodzą hołd czynić w manifestacyi poważnej, w przedstawieniu czynów własnych, opowiedzeniu się swoich myśli. Największe instytucye nasze: gimnastyczna, kulturalna i gospodarcza do Krakowa zbiegają się wobec Grunwaldu zdać sprawę z swych czynności i nowe plany szykować na przyszłość. W ich pracy leży przyszłość nasza, w działaniu ich — to zmaganie się o prawa nigdy nie przedawnione.

Oto one stają, oto naród staje wobec Grunwaldu i wobec Jagiełły: ze wspomnieniami przeszłości powstaje wielkość nasza dawna, nadlata zamierający duch rycerski; jego wybitny rzecznik król Władysław Jagiełło błogosławi pokoleniom współczesnym w walce obecnej.

Powrotną falą.

Na uniwersytecie lwowskim polała się krew, padł trup.

Powrotną falą o polskość w Galicyi uderzyła fala wzmagającej się ruszczyzny. Naród, dobijający się znaczenia, kultury, przyszłości, poddał się pod kierownictwo radykalnych żywiołów i w postępowaniu popełnia błąd po błędzie, pogrążający go w opinii polskiej, narodów w Austryi mieszkających, narodów europejskich.

Od sierpnia 1899 r. wre walka o uiwersytet ruski we Lwowie. Wre w murach wszechnicy, w Sejmie i parlamencie. Rząd austryacki okazał się zdecydowanym przeciwnikiem uniwersytetu ruskiego dla tego jedynie powodu, że nie rozporządza funduszami, jakie potrzebne są na jego ufundowanie. Społeczeństwo polskie uznało prawa Rusinów do samoistnej wszechnicy, ale zastrzegło się równocześnie, że nie pozwoli odebrać nic z dóbr swoich.

Rusini zaś, widząc przeciwko swoim postulatom rząd wiedeński, z zaciekłą furyą uderzyli na Polaków i polskość wszechnicy lwowskiej. Po teoretycznych a kłamliwych broszurach i wydawnictwach Dniestrzańskiego i Hruszewskiego propaganda buchnęła jeszcze silniejsza, zwłaszcza że wmieszane w nią były porachunki sąsiedzkie Polaków i Rusinów.

Dzisiaj większość Rusinów w Galicyi odnosi się do Polaków z żywą nienawiścią; nienawidzą

nas, jako dziedziców tradycyi Rzplitej polskiej, jako ludzi wyższej kultury zachodniej, jako kierujących i odpowiedzialnych za stosunki krajowe w Galicyi; zdaniem większości Rusinów każda rzecz, która dla nich jest niemiła, zapewne została stworzona przez Lacha.

Posiew radykalnej nienawiści niejednokrotnie odbijał się niejednokrotnie o uniwersytet. Zaczynało się od okrzyków i hałasów, a przez obrzucanie jajami, walkę na toporki i laski, doszło do strzałów, do trupa na wszechnicy!

Walkę podejmowali zawsze pierwsi ukraińcy-radykali. Oni dawali jej w publicystyce podłoże ideologiczne, oni w czyn wprowadzali wszelkie doktryny o terrorze, oni też zawsze pierwsi podnosili zarzewia walk.

Walka ostatnia, tak żywo przypominająca mord Andrzeja Potockiego z 12 listopada 1908 r. stanowi w taktyce ukraińskiej moment o tyle szczególniejszy, że odtąd niechybnie terror stosowany będzie coraz częściej, zwłaszcza, że uznał go za konieczny nietylko poseł Dniestrzański, ale nawet metropolita Szeptycki. Powrotną falą przychodzą do nas echa o krwawych zajściach; tym razem nie dokonywa ich jednostka, ale tłumy.

Fakt ten nakazuje szczegółowo zająć się kwestyą uniwersytecką i wogóle kwestyą ruską.

Uczynimy to w numerze następnym.

T. S. L.

12 i 13 lipca zbiera się w Krakowie na obrady nasza najpoważniejsza organizacya oświatowa: Towarzystwo Szkoły Ludowej. Założone w r. 1901., w setną rocznicę Konstytucyi 3 Maja, TSL. powzięło sobie za zadanie pełnić testament konstytucyi majowej.

Uznając, że oświata jest jednym z najsilniejszych czynników rozwoju narodowego, T. S. L. podjęło bardzo intenzywną działalność na polu szkolnictwa i pracy oświatowej poza szkolnej.

Obecnie T. S. L. utrzymuje:

3 gimnazya,
2 seminarya nauczycielskie,
4 szkoły wydziałowe,
105 szkół ludowych,
147 kursów nauki początkowej,
30 kursów przemysłowych i handlowych,
14 ochronek,
18 burs,
7 uczelni,
1824 czytelń i wypożyczalń,
9 domów ludowych,
3 zbiory muzealne,
6 biur porady prawnej.

Wiele z tych funkcyi nie spełnia gdzieniegdzie rząd, a o ile chodzi o sam system wychowywania, to instytucye Tow. Szkoły ludowej stoją zawsze znacznie wyżej, bo wzorowane są stale na ostatnich wynikach nauki, gdy instytucye szkolne w Austryi czerpią swe niewolnicze wzory z Prus.

Gdy zważymy, że:

budżet Zarządu Głównego wynosił w

1908 r. kor. 447.400
1909 r. kor. 845 085
1910 r. kor. 1168.462

a budżet kół miejscowych i Związków okręgowych

w r. 1908. około kor. 500.000
w r. 1909. około kor. 800.000

wtedy dopiero unaoczni się lepiej ogrom działalności T. S. L. i znaczenie jego misyi.

Będziemy mieli sposobność niejedną pomówić o zagadnieniach oświatowych i o pracach samego T. S. L. Tu jednak chcielibyśmy zauważyć, że na tę właśnie instytucyę ponad partyjną, naród polski składa Dar Grunwaldzki, że właśnie T. S. L. administrować będzie funduszami Daru, przeznaczonego na kresy i na budowę szkół na kresach.

Towarzystwu Szkoły ludowej, które darzy dużemi sympatyami i nasz Tygodnik Nar., zasyłamy szczere życzenie obrad dla ojczyzny jak najowocniejszych.

Bitwa pod Grunwaldem.

(Z dramatu J. Słowackiego p. n. „Zawisza Czarny").

Słyszycie jęki?... to Polska złamała
Czarne szwadrony... Krzyżaków... i goni.
Litwin na czele... w okrwawionej dłoni
Trzyma chorągiew... a chorągiew biała,
A on ją spuścił i we krwi umoczył,
Około kija okręcił — i skoczył...
A za nim, niby tęczowe chmury
Pełne słońc, lecą husarze w pancerzach.
„Lob der Got"... krzyczą żelazne komtury
I dzidy czarny, jako szczeć na jeżach,
Szczeć naprzód strachem zjeżona do góry,
A potem w polskich tęczowych odzieżach
Serc szukająca...
Oto dziś zaśpiewawszy pieśń Boga rodzica,
Rzucili się pod Grunwald — szwadron za szwa-
[dronem.
Nie spuszczajmy ich z oczu.. nie odwróćmy lica,
Oczyma ich oświećmy, pochłońmy ich łonem,
Wszyscy nasi!...
A król siedzi zmęczony krwią, pracą — i słucha;
Patrz, umiłował naród... i łzy wielkie roni...
Pierwsza godzina wiekom Jagiellońskim dzwoni.

* * *

Krzyżacy
Pod Grunwaldem pobici na głowę...
Tak wielkiej czerwieni,
Takiego krwi bluzgotu... nie było na świecie
Od czasu jak Rzym stoi... Pola trazymeńskie
Przy zakrwawionym słońcu... w łona otworzone
Biorące żywcem całe kohorty czerwone,
Które się jeszcze w ziemi pochłonięte rznęły,
Są niczem...
Wielki rycerz... rycerz jest z Jagiełły...
Mądrość w tej walce pokazał,
A męstwo, mówią ludzie, większe niż człowiecze.
Rano... dwa miecze olbrzymie
Przysłali mu Krzyżacy, — jak czaple na błocie
Szykując swe wysokie knechty i sztandary...
Myślał Krzyżak, że kiedy królowi zagorą
Te dwa miecze i nagle staną przed oczyma,
Rozdąsa się i ducha w piersi nie utrzyma.
Ale król z wielką pokorą
I niby uszanowaniem
Te miecze przyjął... przycisnął
Do serca... i tym krzyżem srebrnym przekreślony
Stanął.

. . . .

Z dwóch puszek Krzyżak ognia dał i czarnych
[księży
Zszykowawszy w klin jeden straszną zaczął bitwę,
Cały na lewe skrzydło wytężon, na Litwę
I żółtego tatarzyna.
I tak jak bocian w żaby, tak się ostrzem klina
Wbił... i szedł ciągle głębiej... falą wciąż idącą
I tę Litwę na żmudzkich koniach siedzącą
Połamał...
A gdy Jagiełło ujrzał, że szatan się cieszy,
Widząc pokorne chłopki litewskie, że w szykach
Leżą, przy swoich żmudzkich pobitych konikach
Za Polskę tak pobici... a krew smugiem ciecze,
Zdjął z serca swego owe płomieniste miecze..
Kazał Oleśnickiemu, aby pastorały
Swe biskupie położył... a stanął na górze
W mieczach, jak aniołowie walk czarnych stróże,
Gdy on sam na krzyżacką rzuci się harmatę
I pójdzie krwią farbować swoją chrzestną szatę,
Jak prosty żołnież... nie chcąc sławy ani świadka.
To mówiąc szedł, a za nim szedł biskup jak matka
Z temi mieczami dwoma...
I kurz się na tym polu czerwony rozwinął
Straszniejszy niż płaszcz, który chowa czarne
[zbrodnie,
I w kurzu się błyskały miecze. jak pochodnie
I świat się jako błotem skrwawionym zamazał,
I czasem się w kurzawie albo król pokazał,
Albo cały krzyżacki hufiec z chorągwiami,
Uciekający — albo ten Biskup z mieczami,
Albo inne straszliwe boju tajemnice...

. . . .

I byłby ten dzień wielkiej chwały
Widział Jagiełłę w trumie... bo się w tej kurzawie
Był zadumał i stanął w modlącej postawie
Głowę odkrywszy,
Gdy przypadł nań ogromny czarny Krzyżak z boku,
Dypold z Kiekierzyc... z kopią już dobrze czerwoną,
Prosto w strzemieniu na łeb króla nasadzoną,
Gdy.. biskup Oleśnicki, (są w tem tajemnice
Duchów...), nie zbrojna wcale przed walką osoba,
Teraz w ręku trzymając owe miecze oba,
W oba... jak srebrne nożyce
Przyjął to czerwono-włose
Szyszakowe straszydło i rozciął jak osę,
Przez zbroję i kości przegnał
Żelazem... rozciął na poły
I ciało ruszające się krzyżem przeżegnał...
Odtąd — śmierć, królowa ostatnich przerażeń
Panowała na polu..
Z krzykiem nocnych ptaków
Trupem legło pięćdziesiąt tysięcy Krzyżaków!...

Juliusz Słowacki.

Litwa i Polska.

(Litwa pogańska i stosunek Krzyżaków do niej. — Chrzest Litwy. — Przymierze litewsko-polskie. — Unia lubelska.)

W drugiej połowie wieku dwunastego, kiedy to zaczynają się dla nas wiadome i pewne już dzieje Litwy, kiedy Litwa była jeszcze pogańską, w krajach z nią sąsiadujących chrześcijaństwo miało już swoje trwałe podstawy.

Państwo litewskie składało się z dwóch całkiem różnych ludów: Litwinów i Rusinów. Pogańscy Litwini mieszkali nad morzem Bałtyckiem i rzeką Niemnem, mieli swój własny język, odrębne zwyczaje i obyczaje, a dzielili się na kilka szczepów, noszących różne nazwy, jak Prusacy, Kurowie, Żmujdzini, Litwini i Jadźwingowie.

O nawróceniu Litwy nie bardzo miano podówczas czas myśleć; Polska musiała myśleć przedewszystkiem o sobie, a powtóre miała do Litwy przystęp cokolwiek utrudniony. Rusini zaś, którzy także podówczas byli już chrześcianinami, (wyznania greckiego w obrządku słowiańskim), i którzy najbliższymi byli sąsiadami Litwy, mieli zbyt wiele własnych kłopotów, aby módz przedsięwziąć sprawę nawracania Litwy.

Natomiast drugi sąsiad Litwy usilnie a obłudnie starał się o nawrócenie pogańskiego narodu. Sąsiadem tym był zakon rycerzy niemieckich, zwanych Krzyżakami. Ci Krzyżacy wszakże pod płaszczykiem krzewienia wśród ludów pogańskich wiary chrześciańskiej ukrywali zamiary zupełnie inne. Chodziło im mianowicie o bogacenie się, o zagarnięcie pod swoją władzę jak najwięcej krajów. Byli chciwi aż do rozbójnictwa.

Aby więc ugruntować swoją władzę, Krzyżacy rozpoczęli swoje „dzieło“ od Prusaków, jednego, jak już wspomniałem, ze szczepów litewskich. Wytępili pogańskich Prusaków i na ich ziemiach założyli swe państwo krzyżackie, pobudowali silne, niezdobyte warownie i usadowili się tam jak sępy krwiożercze, szukające pożądliwym okiem ofiary żelaznych swych szponów. Ze swych warowni dokonywali dalsze podboje; znowu pod pozorem nawracania na wiarę, wpadali do dalszych ziem litewskich, palili, plądrowali i mordowali ludność litewską.

Wogóle sposób, w jaki Krzyżacy krzewili wiarę chrześciańską, nawracaniu nietylko nie sprzyjał, lecz owszem budził w Litwinach nienawiść do godła zbawienia, do krzyża, o który się Zakon krzyżacki obłudnie stroił. Toż ci Krzyżacy, zamiast iść do pogan z słowami miłości, wpadali znienacka do siół litewskich i, zatapiając w sercach Litwinów zabójcze ostrza szerokiego miecza krzyżackiego, mówili, jakby na urągowisko wierze: „*ja ciebie chrzcę mieczem*“.

Wiele zachowało się do dziś dnia kronik dziejowych, w których pełno opisów mordów i znęcań się Krzyżaków nad ludem litewskim. I dziś, badając wszelkie te ówczesne kroniki, twierdzić możemy stanowczo, że gdyby nie krwawy Zakon krzyżacki, Litwa byłaby przyjęła chrześcijaństwo daleko wcześniej, niż to rzeczywiście się stało.

Przewidywali Krzyżacy w swej przebiegłości, że zbliżenie się Polski do Litwy spowodować mogłoby niepożądane dla Krzyżactwa następstwa; przewidywali, że gdyby Polska uzyskała na Litwie wpływ, natenczas zmalałaby potęga Krzyżactwa. Ztąd Krzyżacy w podstępny sposób usiłowali drażnić Litwinów na Polaków, ażeby na wszelki wypadek przeszkodzić porozumieniu się Litwy z Polską. Jak bardzo Krzyżacy nienawidzili Polaków i jak bardzo obawiali się wpływów polskich na Litwie, dowodzi zdarzenie następujące. Kiedy razu pewnego misyonarze polscy, w celu krzewienia wiary Chrystusowej, udali się w puszcze litewskie, Wielki Mistrz krzyżacki nasłał na nich zbójów, którzy ich wszystkich z polecenia Mistrza wymordowali. A gdy czyn ten niecny nabrał smutnego rozgłosu, wówczas butny Krzyżak powiedział: „Wolę, że Litwa będzie pogańską, niżby miała przyjąć chrzest z rąk Polaków“.

Jasnem więc z tego, że Krzyżakom nie o wiarę chodziło, a tylko o bogactwa, o zagrabienie kraju w swoje posiadanie.

Książęta litewscy — dzielny Kiejstut, Witalas, Mendog, Litawor i inni, — bronili się przed Krzyżactwem dzielnie, jak mogli. Ale byli oni przedewszystkiem wodzami, a nie politykami. Ztąd, nie umiejąc przeniknąć zamierzeń Krzyżaków, pozwolili się nieraz przez Zakon krzyżacki uwieźć, ulegali nieraz niecnym podjudzaniom niegodziwego Krzyżactwa i z Polską toczyli walkę.

Wstąpił wszakże na tron książęcy Litwy Gedymin, wódz wielki a przytem wielki głęboki polityk, umiejący patrzeć w przyszłość. I oto on pierwszy zrozumiał, że przeciw zaborczym Krzyżakom, Litwa znaleźć może sprzymierzeńca najlepszego i najwierniejszego jedynie w Polsce. W Polsce zaś panował pod ten czas potężny król nasz Władysław Łokietek, który już pod Płowcami (27 września 1331) w zaciętej bitwie zadał Krzyżakom sromotną klęskę i który do zamiarów Gedymina odnosił się bardzo chętnie. Obaj władcy tedy, polski i litewski, zrozumiawszy konieczność przy-

mierza przeciw wspólnemu wrogomi, jakim był Zakon Krzyżacki, — zawarli je przez połączenie związkiem małżeńskim swych dzieci. Mianowicie córka Gedymina, księżniczka Aldona, przyjąwszy chrzest została małżonką syna króla Władysława Łokietka, Kazimierza, późniejszego mądrego i sprawiedliwego „króla chłopków“, który — jak mówią historycy — zastał Polskę drewnianą, a pozostawił ją swoim następcom murowaną.

Zawarte połączeniem krwi panujących przymierze polsko-litewskie było wszakże krótkotrwałe niestety. Mądry i dzielny książę Gedymin poległ śmiercią walecznych rażony kulą krzyżacką w bitwie z Krzyżakami 1338. Następcy jego, bracia Olgierd i Kiejstut nie podzielali snać myśli ojca, bowiem przymierza z życzliwą im Polską nie odnowili.

I kto wie, czy do zjednoczenia Litwy z Polską byłoby kiedykolwiek doszło, gdyby nie chrzest Litwy za sprawą jej Wielkiego Księcia Jagiełły, syna Olgierda, a wnuka Gedymina, a jednocześnie młodziutkiej, świątobliwej królowej Polski, „dobrej pani“ — Jadwigi. Jagiełło zrozumiał wolę swego dziada i wypełnił ją znakomicie. To samo powiedzieć można o Jadwidze, prawnuczce Władysława Łokietka, która mimo że serce jej skłaniało się do zaręczonego w dzieciństwie księcia niemieckiego Wilhelma, bez wahania oddaje swą rękę księciu pogańskiemu Jagielle, który u stóp swojej oblubienicy złożył dar nad dary, siebie i cały swój naród dobyty z mroków bałwochwalstwa do światła chrześciaństwa.

Do odwiecznych puszcz litewskich wchodzą kapłani polscy z krzyżem i ze słowami miłości, bez miecza i rusznicy, bez krwi rozlewu, jak to czynili drapieżni krzyżacy. Lud litewski i początkowo do znaku krzyża, wskutek dzikich rozbojów krzyżackich, nieufny, teraz lgnął do kapłanów polskich. I tak nastąpił chrzest Litwy z rąk Polaków, i zawarte zostało nowe przymierze Litwy z Polską przeciw wspólnemu wrogowi zdradzieckiemu i rozbójniczemu Zakonowi Krzyżackiemu.

Przymierze to utrwaliło się, mimo wichrzeń Krzyżaków i Moskwy, za panowania króla Zygmunta Augusta, który w roku 1569, dnia 1 lipca doprowadził do zjednoczenia Litwy z Polską, w jedno państwo, wielkim aktem dziejowym znanym p. n. *Unia Lubelska,* jako że w Lublinie akt ten przez panów z Litwy i Polski był podpisany.

Odtąd już Litwa i Polska, złączone Unią Lubelską w jedno wielkie potężne państwo przebywały pod panowaniem jednego władcy polskiego, który obok godności króla polskiego, nosił także godność Wielkiego księcia litewskiego.



Królowa Jadwiga.

Cześć więc twórcom przymierza litewsko-polskiego, które pozwoliło nam złamać potęgę drapieżnego krzyżaka, cześć twórcom Unii lubelskiej, która z Polski i Litwy uczyniła potęgę jednolitą, którą respektować musiały państwa ościenne, a zwłaszcza Niemcy. Cześć im, wiekopomna cześć!

Marya Konopnicka.

GRUNWALD.

Z drogi! z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i z nicości
Cała krwawa
Zmartwychwstawa,
Jak Zwycięztwa duch!

Oto grzmiąc, jak orkan, leci
Zawierucha tych stuleci,
Co pod zbroją
Wrzące stoją,
Śledząc mieczów ruch.

Uskrzydlona i pancerna,
Hasłom bratnim jak śmierć wierna
W pole klęski
Zastęp męski
Z różnych wiedzie stron".

I nie zgadnie wróg krzyżacki,
Czy go miecz dosięgnie lacki,
Czy go ramię
Czecha złamie
U Litwina nóg.

Stal goreje, oszczep chrzęści,
Topór warczy w chrobrej pięści...
Tam pierś naga
Tchnieniem smaga,
Nim dłoń zmierzy cios...

Okrzyk walki w przestrzeń bucha:
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,
Odmach ręki,
Zgrzyty, jęki,
W jeden zlewa głos.

Hej!... zapłała to odmienna,
Niż Dobrzyńska ziemia pszenna!
Krzywdy stare
Po za miarę
Wykipiały krwią...

Precz z drużyną ztąd służalczą!
Nieśmiertelni tutaj walczą;
W szczęku, w pyle
Na tę chwilę
Kładą pieczęć lwią!

Któż prawnucze serce zmierzy
Z wielką piersią tych rycerzy,
Grzmiących w blasku,
W zgiełku, w trzasku,
Jako orłów ród?..

Kto dziś dzierży takie boje?
Taką sławę, takie zbroje?
Drzewce stare,
Żywą wiarę?...
Kto dziś stworzy cud?...

Las zielony patrzy zdala,
Jak ta burza się przewala;
W krwi i dymie
Wielkie imię
Dzień ten daje mu...

Pył, co leci w błękit żywy,
Szum sztandarów, świst cięciwy
W dziejów karty
Niezatarty
Pomnik wpiszą chrztu.

Z drogi! z drogi!... któż dotrzyma
Rozpędzonych sił olbrzyma,
Co w dniu chwały
Zbrojny cały,
Pogromem się zwał?

Walczy — miecz się zrasta z dłonią...
Pędzi — żywą jest „pogonią"...
On przez wieki
W świat daleki
Sławę niesie w cwał!



Witold, Wielki książę Litewski.

Jak wynaleziono ogień?

Dziwnie jest pomyśleć, że był czas, kiedy ludzie nie używali ognia, nie umieli się nim posługiwać. Tak jednakże było.

Płonęły stepy i lasy od uderzenia piorunu. Zdarzały się pożary suchego sitowia nad rzeką, spowodowane tarciem łodyg podczas wiatrów. Bywały pogorzele, wywoływane przez wybuchy wulkanów, żywioł więc ten, ogień tak posłuszny nam dzisiaj, istniał i dawniej. Człowiek pierwotny

z przerażeniem patrzył na płomień pożaru i poczytywał ogień za straszną, okrutną istotę żywą, za mściwe bóstwo, które niesie śmierć i zagładę. I dużo upłynęło czasu, zanim zmuszony potrzebą, wziął ogień na swój użytek. A wtedy, ceniąc dobroczynne jego działanie, gdy mu ognisko rozświecało ciemną jaskinię, gdy ciepło wchodziło w zesztywniałe z chłodu członki, gdy płomień pełzający zabezpieczał go od natarczywości dzikich zwierząt, — człowiek począł czcić ten żywioł i znów, jako bóstwo go uważał, modląc się do niego, gdy modlić się już potrafił.

Jak to się stało, kiedy i kto do umiejętności władania ogniem doszedł, tego wiedzieć nie możemy. Ludy pierwotne, a także niektóre i ze starożytnych posiadają legendy o tem. Posłuchajmy opowieści australijskiej o „strasznym ptaku ognistym“, to jest ogniu, wychodzącym z wulkanu.

„W dawnych, bardzo dawnych czasach gnieździł się ptak na wysokiej górze, która sięgała nieba. Ptak żył dostatnio, bo miał ogień na którym piekł mięso, ale nie użyczał go ludziom, co trzęśli się z zimna. Razu jednego zoczyli oni ognisko wspaniałe na wierzchołku góry. Poczęli rozmawiać o tem, że wielki ptak porwał kawałek słońca. Zebrał się tedy wszystek lud u podnóża góry, błagając o kawałek dobroczynnego słońca, przy którem mogliby się ogrzać. Dostali jedynie trochę pieczonego mięsa, które im nie smakowało. Zmiarkowali jednak, że łatwiej je gryźć, niż surowe mięso, a nadto wywnioskowali, że jeżeli wielki cudowny ptak piecze mięso, to i oni powinni postępować podobnie. Ponowili więc swoje prośby o najdrobniejszą choćby cząstkę słońca. Ale wielki ptak szydził z nich tylko i pytał, czy chcą być sami usmażeni?

Dzicy odeszli, a podówczas nie umieli budować jeszcze mieszkań. Podczas zimy kładli się pod grubym drzewem, latem na wydmach piaszczystych, podścielając trawę. Z pomocą przyszło im inne ptactwo. Gdy wielki ptak odleciał z wierzchołka góry po żywność, rozpościerając w powietrzu swe olbrzymie skrzydła, jako dwie czarne chmury, ptactwo podleciało ku górze z kawałkiem drzewa, na które wzięło nieco żywego słońca (ognia). Gdy przynieśli je czarnym, ci ze zdumieniem spoglądali na owe kawałki słońca. Śmielsi wzięli je do rąk, lecz sparzywszy się, rzucili przerażeni. Sama trawa, na której leżeli, zajęła się płomieniem, a pożar szerzył się w lesie. Postrach zdjął wszystkich, nie wiedzieli, czego mają się obawiać, ani kędy uciekać. W popłochu dostrzegli. że kogokolwiek ogień dosięgnął, ten umierał i stawał się zupełnie czarnym. Myśleli, że nowe zwierzę, nie mające ani nóg, ani ust, ścigało ich i pożerało. Wielki ptak szybował nad nimi w powietrzu i szydził: czy wam podoba się, że się smażycie? Wielu ludzi zwłaszcza dzieci, spaliło się, ogień tylko za temi już nie poszedł, którzy przepłynęli rzekę. Te niedobitki stamtąd przyglądały się pożarowi. Wreszcie pozostały jedynie żarzące się węgle, świecące w ciemności, a to zwiększało obawę. Dopiero po paru dniach odważyli się przejść z powrotem rzek i zwolna posuwali się dalej. Tu znaleźli ogień pod jednem spalonem drzewem. Po wielu próbach i strachach, nauczyli się postępować z ogniem i zaznajomili się z jego dobroczynnymi przymiotami“.

Opowieść ta, jak i inne jej podobne, bardzo niedokładnie zaznajamia nas z tem, w jaki sposób człowiek po raz pierwszy dostał ogień do ręki.

Ogień w tym okresie pierwotnym był niejako cząstką przyrodzonego pożaru, oderwaną od tego ostatniego i utrzymywaną przez przechowywanie zarzewia. Jeżeli ognisko zgasło kiedy, a człowiek nauczył się już cenić dobroczynne skutki ognia, musiał znowu wykładać przyrodzonym pożarom cząstkę tego żywiołu.

Podania u wielu ludów podają o takich bohaterach, którzy narażali swe życie, aby zdobyć trochę gorącego zarzewia. Dopiero po wielu wiekach, a może i tysiącoleciach, człowiek nauczył się krzesać ogień tarciem o siebie dwóch kawałków drzewa. Być może, iż stało się to wypadkiem Nowsze poszukiwania naukowe wykazały w sposób niezbity, że dc tej umiejętności jak i do utworzenia mowy, rodzaj ludzki doszedł niezależnie w wielu miejscowościach na kuli ziemskiej. W różnych miejscowościach — różne do tego służyły przyrządy, złożone zawsze z dwu kawałków drzewa, niejednakowej trwałości. Buszmeni, dla wydobywania ognia używają świdra ręcznego, który składa się z kijka podobnego do trzonka strzały, ściętego tępo na końcu. Trzymając rękoma drążą nim z wielką szybkością i naciskiem dla wyświdrowania dziury w spodnim kawałku drzewa. Po pewnym czasie proszek wytworzony przez wiercenie węgla poczyna się tlić, wtedy trzymana w pogotowiu hubka zapala się, a od niej ognisko.

Polinezyjczycy mają sposób inny. Ci, przesuwają kij wzdłuż otworu, przezeń wyżłobionego w spodnim kawałku drzewa. Przez szybkie tarcie zapala się powstały z niego proszek, a od niego hubka. Każdą metodą można rozniecić ogień w kilka minut, lecz potrzebna jest zręczność i odpowiedni wybór drzewa. To też komuś z nas niełatwo to sie udaje. Człowiek pierwotny w prostocie ducha mniemał, że jeden z dwóch kawał-



Krzyżacy, pustoszący ogniem i mieczem dwory polskie.

ków drzewa, używanych przy krzesaniu ognia, posiada przymioty męskie, drugi kobiece, i że ogień jest dzieckiem ich obcowania małżeńskiego. Dla ułatwienia pracy, niektóre ludy poczyniły ulepszenia w prostym świdrze ogniowym dzikich, wprawiając go w ruch za pomocą krzemienia kręconego parę razy w koło kija i pociągając go tam i z powrotem. Znanym jest również kręcenie za pomocą kabłąka. W każdym razie potrzebny jest czop, kawałek drzewa na wierzchu dla naciskania świdra na jego podstawę. Świder ogniowy jest środkiem zamieniającym siłę mechaniczną na ciepło, dopóki nie zapali się koniec drzewa.

U ludów cywilizowanych dawny świder ogniowy już w czasach starożytnich zastąpiony był w codziennem użyciu przez krzemień i stal. Pierwotne wydobywanie ognia pozostało jednak długo i używano go przy ceremoniach kościelnych. Bramini, kapłani hinduscy w Indyach wschodnich, zapalają ognisko przy składaniu ofiar, ogniem „czystym“ czyli wykrzesanym. U Rzymian starożytnych było prawo, że gdyby westalki (tj. kapłanki, które miały czuwać bezustannie nad świętym ogniskiem), pozwoliły wygasnąć temu ogniowi, to należało rozniecać go na nowo przez świdrowanie w desce drewnianej. Dla tej ceremonii przechowywano świdry z najdawniejszych czasów. W niektórych miejscach Europy, gdzie lud jest mało oświecony, w tenże sposób do dziś krzeszą ogień, by od niego rozpalić ognisko, przez które przepędzają bydło w czasie zarazy z tą wiarą, że to je uchroni od pomoru.

U naszego ludu wydobywanie ognia „żywego“, jak go nazywają, dotarło do naszych czasów w niektórych okolicach, gdzie obchodzą święto sobótek. Niektóre ludy pierwotne, jak np. ludy Ziemi Ognistej, posługują się dzisiaj kawałkiem pirytu (rudy żelaznej znajdywanej na brzegu morskim) i krzemieniem. Uderzając pirytem o kawałek krzemienia, krzeszą iskrę na hubkę i tym prostym sposobem otrzymują ogień, Z początku sposobu tego używano wśród ludów starożytnych, potem jednak piryt zastąpiono żelazem i zrazu znane dobrze krzesiwko dotrwało do naszych czasów.

Dopiero około roku 1840 wynalezionio zapałki, te kijki zapalne, jak je zwano dawniej. Działanie zapałek zależy od fosforu, zapalającego się przez potarcie. Główka zapałki zwyczajnej składa się z mieszaniny łatwo palnej, zawierającej chlorek lub saletran potasu, który się zapala skutkiem zmieszanych w nim cząstek fosforu. W lepszych zapałkach, tak zw. szwedzkich, dla bezpieczeństwa, te cząstki fosforu są umieszczone nie w łebku zapałki, lecz w miejscu połączenia.

Obecnie mamy zapałki, lampy, świece, piece, kominy, nie mówiąc już o świetle gazowem i elektrycznem. Zżyliśmy się z temi wygodami, z temi zdobyczami cywilizacyi i nikt się nie zastanawia, jak doniosłe znaczenie ma ogień w życiu ludzkiem. Człowiek pierwotny przez zdobycie umiejętności posługiwania się ogniem mógł życie swe wygodniejszem uczynić. Gotowane jadło posilało go lepiej. Ogrzewało ognisko w mroźne dni zimowe; mógł człowiek przy nim dzień dłuższym uczynić. Przy ognisku zbierała się cała gromada, rozwijały się w ludziach uczucia społeczne, ulepszała się bogaciła w wyrazy każda mowa, człowiek stawał się mniej dzikim. Bez ognia ludzie [skazaniby byli, podobnie jak małpy na zamieszkiwanie krajów tylko w ciepłym klimacie leżących. Gdyby nie ogień, ludzkość nie wyszłaby z okresu kamiennego, bo nie mogłaby mieć żelaza i innych metali, które w ogniu z rud się wytapiają.

Indyanie czerwonoskórcy, zastanawiając się nad tem, co skłoniło białych ludzi, że wtargnęli do ich lasów, do tego przyszli wniosku, że białe twarze (tak zwą Europejczyków), musieli widocznie wypalić u siebie wszystkie lasy i nie mając czem podsycać ognia, kraj swój opuścili.

Cenili ogień ludzie pierwodni, później oddawano mu cześć boską, jak to widać z historyi różnych religii. Dawniejsi Assyryjczycy, Chaldejczycy, Fenicyanie, Rzymianie i Grecy, oraz wiele innych ludów składali bogowi ognia ofiary. Dzisiaj żyjący Kamczadałowie, Tunguzi, Kirgizi itp. czczą ogień jako bóstwo dobroczynne i groźne zarazem. Przypisują mu przymioty istoty żywej i świadomej swych czynów. Dawna cześć dla ognia przechowała się u nas w postaci gromnic, świec, lampek oliwnych itp. przy obrządkach religijnych używanych w kościołach i domach pobożnych.

Kobieta i biuro.

Oddawna istnieje u nas w pewnych sferach niechęć do pracy kobiecej w biurach. Podaje się jako pewnik, że praca biurowa mężczyzn jest więcej produkcyjną, a co za tem idzie, więcej warta, niż praca kobiet. A dalej, jako bardzo poważny argument przeciwko zajmowaniu przez kobiety posad biurowych, przytacza się twierdzenie, że mężczyzna, pracując w biurze, walczy o byt i chleb powszedni, o utrzymanie licznej nieraz rodziny, kobieta zaś często obejmuje posadę dla



BATALIA.

zabicia czasu lub dla uzyskania pewnej kwoty na ubranie i drobne wydatki.

Pomijamy niesłuszność ostatniego twierdzenia, bo dzisiaj prawie nie spotyka się podobnego typu kobiet, dla których biuro jest tylko chwilowym epizodem w życiu. Lecz jeżeli mężczyzna utrzymujący z pracy biurowej rodzinę jest często wołem roboczym, ciągnącym jarzmo obowiązków ponad siły przez całe życie i jest jedynym chlebodawcą żony, dzieci, rodziców, siostr i braci — dlaczego żony, siostry i córki nie mają mu być pomocą?

Są rodziny, w których każdy z członków jest jakby kółkiem w doskonałym mechanizmie zegara. Ojciec pracuje w fabryce, matka gospodaruje w domu, synowie zajmują posady, córki mają zajęcie albo w biurach, albo pracują jako nauczycielki — jednem słowem każdy przyczynia się do stworzenia w rodzinie znośnego bytu. Dzisiaj to już jest typ przeciętny rodzin zarobkujących, konkurencya kobiet, tak zwalczana przez wielu mężczyzn, dąży właściwie tylko do podziału pracy, do sprawiedliwego rozkładu obowiązków rodzinnych.

A teraz pozostaje sprawa wynagrodzenia pracy kobiecej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kobieta w porównaniu do mężczyzny jest tu krzywdzoną. Jako argumenty, usprawiedliwiające ten fakt, przytaczają, że kobieta, mając mniejsze potrzeby niż mężczyzna, zadowolić się może i mniejszem wynagrodzeniem. Podobnej opinii poważnie traktować nie można, gdyż każda praca powinna mieć w imię sprawiedliwości społecznej odpowiedni równoważnik w zapłacie bez względu na to, jakie pracownik ma potrzeby osobiste.

Przyznać jednak trzeba, że w dużej części same kobiety winny temu zdeprecyonowaniu wynagrodzenia. Ogromna liczba dyletantek nieprzygotowanych fachowo rzuciła się na pole pracy, jeszcze niewyzyskane, a dla kobiet dostępne i przez to wytworzyła się konkurencya nie o dobroć roboty, lecz o taniość. W tem też leży przyczyna, dla której ustalił się zwyczaj, że pracę kobiecą wynagradzają gorzej z zasady.

Dzisiejsza jednak pracownica biurowa, na równi z mężczyzną wnosi elementy dodatnie, jak ład, systematyczność, porządek, obowiązkowość i co

najważniejsza w wielu wypadkach wiedzę i wydoskonalenie się fachowe.

Dzięki coraz liczniejszym zakładom naukowym żeńskim, o charakterze zawodowym, praca kobiet stała się na równi wydajną z pracą fachowców mężczyzn. Powoli też widoczną jest zmiana w stosunkach kobiet i pracowników mężczyzn. Miejsce dawnej arogancyi i ironii zajmuje coraz częściej uznanie i szacunek kolegów. Wartość kobiety, jako pracownika biurowego, nie jest już dziś lekceważoną, tylko w dalszym ciągu finansowo niedocenianą. Zwyczaj płacenia kobiecie mniejszej pensyi utrzymuje się prawie niezmiennie, ale tylko już dlatego, że jest bardzo wygodny dla kieszeni pracodawców. Zmienić się to jednak musi jak się już zmienił pogląd na produkcyjność pracy niewieściej.

Pies policyjny, jako ochrona lasów.

W ostatnich czasach jak wiadomo, psy odpowiednio tresowane używane są przez policję do tropienia zbrodniarzy, a praktyka policyjna wykazuje w tym kierunku bardzo liczne a pomyślne rezultaty. W najnowszym czasie zrobiono próbę użycia pomocy psa policyjnego do wyśledzenia kradzieży, popełnionej na polu i do wytropienia kłusownika, a „Bayrische Forst- u. Jagdzeitung“ tak o tem pisze:

Na polu zauważono kilkakrotnie kradzież kartofli. W celu wyszukania złodzieja wezwano agenta policyjnego do pomocy, który przybył na miejsce, przyprowadzając ze sobą psa służbowego (pochodzącego z rasy niemieckiej psów owczarskich). Po dłuższem węszeniu na miejscu kradzieży, pies puścił się miedzami i drogą i poprowadził towarzyszących mu ludzi do domu odległego o jakie 500 metrów.

Tam wskazał pies izbę położoną na piętrze, gdzie istotnie znaleziono skradzione kartofle. Zauważyć przytem należy, że tropienie złodzieja nastąpiło w 12 godzin po dokonanej kradzieży.

Inny jeszcze więcej zajmujący wypadek, o którym pisały dzienniki, był następujący: Dzierżawcy polowania w gminach Reissenhausen i Kirchgandern, położonych w pobliżu Göttingen, postarali się w tamtejszej dyrekcyi policyi o użyczenie im psa policyjnego „Rolanea“ w celu wyśledzenia kłusownika. Urzędnik policyjny przybył z psem na miejsce, a po krótkim węszeniu wpadł na trop i znalazł ubitą zwierzynę w gąszczach lasu ukrytą. Stąd poprowadził swojego pana śladami kłusownika do wsi Kirchgandern, gdzie w domu podejrzanego od razu na niego napadł. Przy rewizyi w domu znaleziono strzelby, amunicyę i pułapki na zwierzynę, a tak przeciw podejrzanemu można było kroki sądowe rozpocząć. Jak więc widzimy z tych dwóch wypadków, pies policyjny może oddać znakomite usługi w ochronie lasów i polowania.

Ruch pocztowy na świecie.

Ostatnia statystyka poczt w Europie wykazuje, że najwięcej listów krąży w Niemczech. Liczba urzędów pocztowych w r. 1885 wynosiła tam 18,809, w roku ubiegłym doszła do 40,566. W Anglii w r. 1885 było 15,450 biur pocztowych, w roku ubiegłym 24,952. W Niemczech w r. 1885 krążyło rocznie miliard listów, w roku zeszłym 4581 milionów włącznie z kartami korespondencyjnemi. W Anglii z jednego miliarda 5 milionów cyfra korespondencyi podniosła się do 3767 milionów. Anglia w r. 1885 przesyłała pocztą 147 milionów gazet, w r. z. 202 milionów. Niemcy w tychże latach: 542 milionów i 1980 milionów. W Anglii na 100 mieszkańców przypada rocznie 453 czasopism, w Niemczech na taką samą liczbę 3282 czasopism.

Podobno...

Podobno Anglik ma zwyczaj niewiele mówić o swoich zamiarach, ale to, co wypowiedział, wykonywa dokładnie.

Podobno Szkot zapowiada jak najwięcej i jak najgoręcej, a wykonywa jeszcze więcej i jeszcze goręcej.

Podobno żyd niczego nie zapowiada, tylko działa.

A podobno my, Polacy, zwykliśmy zapowiadać wszystko, ale to wszystko, co mamy i czego nie mamy w sercu, głośniej i gorręcej, aniżeli najgłośniejsi i najgorętsi Szkoci, lecz wykonywać staramy się jak najmniej, albo i wcale nic.

Co podobno stąd pochodzi, że u nas rozmyślanie zastępuje się... opowiadaniem, a „piękne gesty“ ceni się więcej, aniżeli skromne czyny.

Bolesław Prus.

DLA ROZRYWKI

Gry towarzyskie.

Rymy i sylaby.

Grający siadają w koło. Kierownik zabawy rzuca czystą chustkę na kogokolwiek i wymawia jaki wyraz, do którego osoba, trafiona chustką, winna niezwłocznie dobrać rym. Jeżeli tego nie uczyni, daje fant. Chustkę rzuca się dalej do innej osoby. Im rym trudniejszy, tem zabawa bywa weselszą. Np. kobierzec — wyraz dość trudny do zrymowania, a jednak znalazł się ktoś, co odpowiedział natychmiast: „Mogę nic nie rzec i wziąć ten kobierzec".

Zamiast wyrazów, przy rzucaniu chustki można wygłaszać tylko sylaby, które osoba, trafiona chustką, winna uzupełnić do utworzenia wyrazu, np. ko — odpowiada się — cham, kocham, — cioł, kocioł, — kietka, kokietka, — bietka, kobietka, — ło, koło, — lejarz, kolejarz, — ryto, koryto i t. d. lub z francuska ko — szą, cochon.

Konkury.

Panowie oddalają się, panie umawiają się, która którego sobie wybiera. Gdy wybór nastąpił, osoba kierująca zabawą, przyprowadza jednego z panów, on zaś kłania się tej pani, o której sądzi, że go wybrała. Jeżeli trafi na swoją, to proszą go, ażeby pozostał, jeżeli zaś nie, to oklaskami zmuszają go do odwrotu, przyczem płaci fant. I tak kolejno przychodzą wszyscy panowie, przyjmowani lub odsyłani z powrotem.

Tę samą zabawę można wykonywać odwrotnie, tj. panie odchodzą, a panowie wybierają, poczem odbywa się wszystko jak wyżej.

Rzemieślnicy.

Jeden z grających staje w kółku rzemieślników, których zajęcia przybierają sobie obecni, i opowiada o swoich przygodach dziennych, a gdy spojrzy na którego z rzemieślników, ten powinien wymienić jakiś szczegół ze swego fachu, bo gdy tego nie uczyni, daje fant.

Np. siedzą: szwaczka, praczka, kucharka, stolarz, szewc, krawiec, a stojący w kole opowiada:

„Wczoraj byłem na pewnem zebraniu naszych artystów i literatów. Kiedym wchodził, rozmowa była bardzo ożywiona, mówiono o (patrzy na praczkę)...

Praczka (przerywa). O rozwieszaniu bielizny.

„Zdziwiłem się, że uczeni zajmują się takiemi (patrzy na stolarza)...

Stolarz (przerywa). Heblowinami.

„...I pomyślałem sobie, że szkoda było... (patrzy na krawca).

Krawiec. Nowego fraka.

„...I... (patrzy na szewca).

Szewc. I lakierków.

„Chcąc zmienić temat rozmowy, oświadczyłem, że gotów jestem odczytać referat o... (patrzy na kucharkę).

Kucharka. O rondlach.

„Ale jak na złość, ukłuła mnie w tej chwili... (patrzy na szwaczkę).

Szwaczka. Igła, zostawiona w koszuli. Itd.

Łamigłówki.

Logogryf:

Z sylab: *a—an—bie—ci—cin—czyc—daś—ga gan—hu—je—le—mek—na—nem—nie—o—ra—rod ski—so—stry—ti—za* ułożyć 9 wyrazów, których początkowe i końcowe litery składają nazwiska dwuch uczonych polskich.

Znaczenie wyrazów:

1. Jeden z królów polskich.
2. Inaczej pałac.
3. Autor licznych powiastek.
4. Zwierzę leśne, w liczbie mnogiej.
5. Sławny myśliwy.
6. Skorupiak, poławiany w morzu.

7. Miasto nad rzeką Ohio w półn. Ameryce.
8. Silny wicher.
9. Imię męskie, zdrobniałe.

Łamigłówka kryształowa.

A
A A A
A A A A A
A A A G I J K
K Ł M M M N N O O
O O O R R R R
S S S S S
S S T
W

Z powyższych liter ułożyć 9 wyrazów. Średnie litery oraz piąty wyraz oznaczają miasto w Hiszpanii, przy zdobyciu którego odznaczyły się polskie legiony za Napoleona I-go.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Jeden z miesięcy.
3. Zwierzę leśne.
4. Miasto, pod którem Ateńczycy pobili Persów.
5. ? ? ? ? ? ? ? ? ?
6. Kraj w Afryce.
7. Rzeka w Polsce.
8. Owad.
9. Samogłoska.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 14. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 30.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 26.:

1. *Zagadka:*

Wiara — Nadzieja — Miłość.

2. *Łamigłówka kryształowa:*

M
M A K
P O T O P
M A T E J K O
H A I T I
O K A
O

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Juliusz Bogusz, Michał Chciuk, Marya Dręgowska, Marya Dunicz, Zygmunt Gaudnik, Emil Gruszecki, Marya Haass, Jan Habela, Zofia Halewska, Franciszek Kądziela, Stanisław Karaś, Ignacy Kędzierski, Otylia Kostańska, Romuald Kulczycki, Roman Łazarewicz, Mila Makowiecka, Ludwik Mazur, Helena Michalikówna, Helena Myconiówna, Tadeusz Nodzyński, Antoni Opidowicz, ks. Wincenty Osikowski, Karol Pacuła, Jan Pyszko, Wanda Rostkówna, Stanisław Sierosławski, Piotr Stolarzewicz, Józefa Steindl, A. Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szewczyk, Bronisława Szkaradkówna, Anna Wełnianka, T. Weseli, Z. Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Stanisława Balcerska, Marya Baranowska, Józef Bilski, „Błędne koło“, Ignacy i Józef Bułowie, Tomasz Cichowski, Jania Cieszyńska, Stefania Dużyńska, „Janek z pod Góry Przemysława“, Mieczysława Jarmuż, K. Kaczmarkiewicz, Anna Kędziorzanka, Karol Kołodziejczyk, Leokadya Konopińska, Helena Kornaszewska, Z. Krajewski, M. Kulińska, J. Kwiecińska, Stefania Łazarewiczówna, Stanisław Markowiak, Antoni Mikołajczak, Eleonora Olszewska, Julcia Ozdowska, H. Piechocki, Helena Ratajewska, Zofia Starkówna, Zofia Wachowska, Ludwika Wyrzykowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Czesław Adamczewski z Hali n/S., Helena Konatkowska z Berlina, Władysław Muth z Karlshorst pod Berlinem, Kazimierz Stopa z Sarajewa (Bośnia), Emilia Świątkowska z Monachium, Ludwik Szymanowski z Kray (Nadrenia), Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia), R. Wróbel z Berlina.

Nagrodę otrzymali:

pp. Jania Cieszyńska (Koźmin), Władysław Muth (Karlshorst pod Berlinem), Tadeusz Nodzyński (Bochnia), Stefania Wdówkówna (p. Głogów-Budy).

(Szan. Czytelników, nadsyłających rozwiązania, prosimy o dokładne podanie adresu, t. j. miejsce zamieszkania i pocztę. Red.)

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Powoli, jakby z żalem, odpięła naszyjnik i podała mężowi, który obejrzał go z uwielbieniem, jakgdyby strój ten widział po raz pierwszy. Ułożył go potem starannie w puzderku, obitem czerwoną skórą, z herbem kardynała i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Była to właśnie mała alkowa, oddzielona zupełnie od reszty mieszkania; miała tylko jedno wejście, znajdujące się u stóp łóżka właściciela. W tym to pokoiku, na wysokiej półce, pomiędzy pudłami do kapeluszy, a stosami symetrycznie ułożonej bielizny spoczął skarb drogocenny. Powróciwszy do sypialni, hrabia zamknął drzwi za sobą i zaczął się rozbierać.

Nazajutrz rano wstał o dziewiątej. Pragnął jaknajprędzej odnieść naszyjnik do banku. Ubrał się śpiesznie, wypił filiżankę kawy i udał się do stajni. Chciał obejrzeć jednego z koni, który go niepokoił. Kazał go forysiowi przeprowadzić najpierw stępa, potem truchta przez całą długość podwórza. Następnie wrócił do żony. Hrabinę zastał jeszcze w sypialni. Czesała ją panna służąca. Widząc męża wchodzącego, piękna pani zapytała:

— Już wychodzisz?

— Tak... idę właśnie, aby odnieść.

— Ah! prawda... to rozsądniej...

Wszedł do przyległego pokoiku, ale w chwilę powrócił i, bez zdziwienia w głosie, zapytał:

— Wszak go wzięłaś, drogie dziecko?

— Jakto? ależ nie, nic nie wzięłam.

— Przełożyłaś go zatem w inne miejsce?

— Bynajmniej, tych drzwi nawet nie otwierałam dzisiaj.

Usłyszawszy te słowa, hrabia zmienił się do niepoznania — i głosem ledwie zrozumiałym wybełkotał:

— Tyś go nie ruszała?... Więc nie ty?... W takim razie... — Przybiegła do męża. Zaczęli poszukiwania szybko, gorączkowo. Rzucali pudła na ziemię, przewracali stosy bielizny, hrabia powtarzał bez przerwy:

— Napróżno!... Wszystko napróżno!...

— W tem miejscu, tutaj, na tej półce położyłem go wczoraj.

— Ależ mogłeś się pomylić.

— Nie omyliłem się, tutaj, na tej półce, nie na innej.

Odważna hrabina zachowała zupełną przytomność umysłu. Nie traciła czasu na bezowocne ubolewania. Natychmiast wezwała pana Valorbe, komisarza policyi, którego mieli sposobność poznać dawniej i oceniali umysł jego bystry, przenikliwy. Opowiedzieli mu szczegółowo o dokonanej kradzieży. Urzędnik zapytał:

— Czy hrabia jest pewny, że nikt nie mógł przejść w nocy przez jego sypialnię?

— Najzupełniej. Mam sen bardzo lekki. Co więcej, drzwi tego pokoju zamknięte były na zasuwkę. Własnoręcznie ją dzisiaj rano otworzyłem, gdy żona moja dzwoniła na służącą.

— Czy niema innego przejścia, przez które można się dostać do alkowy?

— Niema żadnego.

— Okna też nie ma?

— Jest, lecz zastawione.

— Pragnąłbym się bliżej rozejrzeć...

Zapalono światło. Pan Valorbe słusznie zauważył, że okno tylko do połowy wysokości zastawione było jakimś starym kufrem... co więcej kufer ten nie przystawał szczelnie do ramy okna.

— Stoi jednak o tyle blisko, — odrzekł pan de Dreux, — iż przesunąć go bez hałasu niepodobno.

— Na co wychodzi to okno?

— Na środkowe podwórko.

— Czy nad tem piętrem jest jeszcze wyższe?

— Są dwa nawet. Lecz na poziomie piętra, zamieszkałego przez służbę, podwórko zasłonięte jest gęstą kratą. Dlatego dochodzi tutaj tak mało światła.

Zresztą, po odsunięciu kufra, okazało się, że okno było zamknięte. Przypuszczenie, iż ktoś mógł się dostać z zewnątrz upadło.

— Chyba ten ktoś wszedł przez nasz pokój — zauważył hrabia.

— W takim razie zasuwka nie byłaby zamknięta.

Komisarz zastanowił się chwilkę, poczem zwracając się do hrabiny, zapytał:

— Czy ktokolwiek z otoczenia wiedział, iż wczoraj wieczorem włoży pani ten naszyjnik?

— Naturalnie. Nie kryłam się z tem zupełnie. Lecz nikt nie miał pojęcia, gdzie go chowamy.

— Nikt?

— Nikt... Chyba że...

— Proszę panią hrabinę o najdokładniejsze odpowiedzi. Jest to jeden z najważniejszych punktów.

Zwróciła się do męża:

— Myślałam o Henryce.

— O Henryce? Ależ ona nie wiedziała... tak samo jak i inni.

— Czy jesteś tego pewien?

— Kto jest ta osoba? — zapytał pan Valorbe.

— Jest to moja koleżanka z klasztoru. Poróżniła się ze swą rodziną, która małżeństwa z człowiekiem niższej sfery, prawie robotnikiem, darować jej nie chciała. Po śmierci męża przygarnęłam ją wraz z synkiem i dałam mieszkanie w tym domu.

Z pewnem zakłopotaniem dorzuciła:

— Oddaje mi ona niejakie usługi. Jest bardzo zręczna.

— Na którem piętrze mieszka ta pani?

— Na tem samem, co i my... blisko... na końcu korytarza... sądzę nawet... okno jej kuchenki...

— Wychodzi na to podwórko, czy tak?

— Tak, zupełnie naprzeciw naszego okna.

Po tem wyjaśnieniu nastała chwilowa cisza.

Pan Valorbe objawił życzenie, aby go zaprowadzili do Henryki.

Zastali ją szyjącą.

Synek jej, chłopiec siedmio czy ośmioletni, czytał, siedząc obok matki. Nędzne mieszkanko, umeblowane przez chlebodawców, składało się z jednego pokoju bez kominka i klitki, służącej za kuchnię. Komisarz zdziwiony tem ubóstwem, zadał jej parę pytań. Wiadomość o spełnionej kradzieży wstrząsnęła nią do głębi. Wszak wczoraj wieczór jeszcze sama ubierała hrabinę i sama zapinała fermoar naszyjnika.

— Wielki Boże! — zawołała — ktoby to powiedział!

— Czy nic pani na myśl nie przychodzi? Nikogo pani nie podejrzewa? Jest bowiem prawdopodobne, że winowajca przeszedł przez ten pokój.

Zaśmiała się szczerze, nie przypuszczając, aby najlżejsze posądzenie ją dotknąć mogło.

— Ależ nie wychodziłam ze swego pokoju wcale. Zresztą pan chyba nie widział.

Otworzyła okno kuchenki.

— Patrz pan, ztąd jest przeszło trzy metry do gzymsu przeciwległego.

— Kto pani powiedział, że zastanawiamy się właśnie nad przypuszczeniem, czy złodziej mógł się dostać przez to okienko?

— Ależ.. czy naszyjnik nie był w alkowie!

— Zkąd pani wie o tem?

— Boże! wiem przecież, że go zawsze tam przechowywali... mówiono o tem przy mnie.

Słodka jej twarz, choć młoda jeszcze, była zwiędła przedwcześnie i pełna rezygnacyi. Zgryzoty wyryły na niej swe piętno. Nagle w oczach jej odbił się wyraz niepokoju, jak gdyby na widok grożącego niebezpieczeństwa. Przyciągnęła do siebie syna. Dzieciak wziął ją za rękę i pocałował czule.

— Nie przypuszczam nawet — rzekł pan de Dreux do komisarza, gdy zostali sami — nie przypuszczam, ażebyś pan mógł ją posądzać. Odpowiadam za nią. To uosobienie uczciwości.

— Najzupełniej podzielam zdanie pana — potwierdził pan Valorbe. — Co najwyżej miałem na myśli wspólnictwo bezwiedne. Wyznaję jednak, iż moja hypoteza upada... tembardziej, że nie rozwiązuje wcale zagadnienia, o które się rozbijają nasze wysiłki myślowe.

Na tem zakończył badanie.

Prowadził je w dalszym ciągu sędzia śledczy. Indagacye trwały dni kilka. Zapytywano służbę, oglądano zasuwki, otwierano i zamykano okienko alkowy, przetrząśnięto pałac od góry do dołu. Wszystko daremnie. Zasuwki były nienaruszone, okno nie dawało się od zewnątrz ani otworzyć ani zamknąć.

Podejrzenia zwracały się głównie na Henrykę. Czepiano się jej nieustannie. Badano szczegółowo jej przeszłość. Okazało się, że w przeciągu trzech lat cztery razy tylko opuszczała pałac i zawsze można było sprawdzić, dokąd wychodziła. Spełniała obowiązek szwaczki i pokojowej przy pani de Dreux, która ją zawsze traktowała bardzo ostro. Poświadczyła to cała służba.

— Zresztą — mówił sędzia śledczy, który po tygodniu doszedł do tych samych wyników, co komisarz — gdybyśmy się nawet dowiedzieli, kto jest winowajcą — a o tem pojęcia nie mamy — nie objaśniłoby to nas ani trochę w jaki sposób kradzież została spełnioną. Natrafiamy na dwie przeszkody niezwalczone. Zamknięte drzwi i zamknięte okno. Tajemnica jest podwójną!..

Jak można było dostać się do mieszkania i — co dziwniejsza — wyjść ztamtąd, pozostawiając za sobą drzwi i okno zamknięte na zasuwkę?

Po czteromiesięcznych badaniach — sędzia doszedł do następującego wniosku: — państwo de Dreux zmuszeni brakiem pieniędzy — sami sprzedali naszyjnik królowej. Sprawę umorzył.

Kradzież cennego klejnotu zadała państwu de Dreux-Soubise cios tak silny, że skutki jego długo im się uczuć dawały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 28

(Ciąg dalszy).

— Panienko, proszę mnie wziąć ze sobą do Warszawy.

— Jakże to, Stachu? Nie można? Cóżbyś tam robił?

— A cóż — konie bym obrządzał! Stary pan mówił, że ma swoje konie.

— Nie mogę przecie narzucać tam ciebie. Nie wypada!

— Ja mu się tam pokłonię, i poproszę. Mnie tu po panience będzie nudno!

— Ależ na służbie jesteś.

— O! tom już urządził. Dzisiaj właśnie dałem w pysk karbowemu, więc mnie rządzca wygnał.

— Ależ, Stachu, oszalałeś!

— Com miał oszaleć! Trzeba było racyę zrobić, tom zrobił. Inaczejby mnie naprzeciw lata nie uwolnili!

— Nie wyżyjesz w mieście. Szkoda ciebie, Skowronku! — uśmiechnęła się smutnie.

— I tu mi ostać nijako. Do głowym to wziął, pociągnę za panienką. Okrutną ochotę mam! — I śmignął z fantazyą biczyskiem.

Na werandzie ogrodowej zastała Kazia obu Sanickich z ojcem, pijących herbatę. Pani domu wymówiła się migreną i nie wyszła. Chciała dokuczyć pasierbicy i zamanifestować, że do żadnych względem niej obowiązków się nie poczuwa.

Prezes był rozpromieniony i wesół. Andrzej blady, zmęczony jakiś, czy niezdrów. Ledwie ukrywał, że go to śmiertelnie nudzi i drażni, że spełnia nieznośny obowiązek.

Kazia przeraziła się na myśl, że ojciec może zauważyć jego zły humor, domyśleć się prawdy, zaczęła też zaraz wesoło rozmawiać z prezesem, odwracać uwagę Szpanowskiego.

— Ta dziewczyna nie ma nerwów ni czucia! — pomyślał z niechęcią Andrzej. — Mógłbym ją nogami kopać, zniesie wszystko.

I rozdraźniony, wściekły podniecał się przeciw niej, poprzysięgał, że drogo zapłaci. Wmówił sobie, że jest wspólniczką ojca w spisku na jego swobodę i swobody tej postanowił im nie zaprzedawać nigdy.

Pani Celina ostatniemi czasy była szczytem uroku i szczerości, usidliła go na nowo, przyje-

chał tu, pijany szałem i rozkoszą. Kazia, zwykle obojętna, była dla niego wstrętna. Wrzał w nim bunt, i złe, nienawistne instynkty.

Był tak źle usposobiony, że nawet prezes bał się wybuchu i skandalu w przeddzień ślubu; drżał, nadrabiał miną, Boga prosząc, by już było prędzej po przysiędze. Dalej — prezes był spokojny. Ale, co życzył pani Celinie w tej chwili, co on jej w przyszłości poprzysięgał!

Jeden Szpanowski nie kipiał w duszy, nie udawał, nie pomstował. Głowa jego pełna była spraw i kłopotów gospodarskich, ale w głębi serca miał spokojną radość, że jutro Kazię swą dobrym ludziom odda, że los jej szczęście zapewni. Uważał, że Kazia była zanadto niefrasobliwą i wesołą, jak na zakochaną pannę, a Andrzej zbyt sztywny i milczący jak na narzeczonego, ale traktował to jako dzieciństwo, i dalej o tem nie myślał.

Po chwili odwołano go do rządzcy, więc przeprosił gości i ulotnił się na długą konferencyę.

Gdy go nie stało, humor Kazi się urwał. Prezes z niewyczerpaną werwą prawił i prawił, ona słuchała tylko, zmrożona wyrazem twarzy Andrzeja. Drgnęła nagle, gdy prezes wyrzekł:

— Jutro o tej porze będziemy już do Warszawy dojeżdżali. Dąbscy mają być na dworcu, i Radlicz pewnie przybyć nie omieszka.

— O pewnie! Ten czyha na nasze karykatury! — mruknął niechętnie Andrzej.

Kazia spojrzała na niego. Oczy miał złe, brwi ściągnięte, przykry wyraz ust.

— Widocznie chce pan, by temat miał gotów — rzuciła z gniewnym błyskiem w oczach.

— O! to nie ja chcę! — odparł z naciskiem.

— Dlatego też ma pan minę ofiary, czy skazańca. Jeszcze czas! Jeżeli o mnie chodzi, jest pan wolny.

Ale tu prezes za ręce ją porwał, przerażony.

— Panno Kazimiero, litości. Niech pani ma wzgląd na mnie! On jest dziś chory, rozdrażniony; proszę mu darować!

— Są granice na wszystko, nawet na upokorzenia. Niech pan wejdzie w moje położenie; dlaczego, poco mam to znosić i cierpieć?! Przygotowanam na złą dolę, ale nie chcę obelg, i jedno mam prawo strzedz, swej godności. Lepiej się cofnąć dziś, bo potem nie do humorystyki będziemy tematem, ale do skandalu. Ja nie dam sobie ubliżać! Umiem udawać, gdy chodzi o spokój ojca, ale nawet dla niego nie zniosę fałszywej pozycyi!

— Pani nie taiłem swych uczuć! — rzekł Andrzej.

— Ja też nie potrzebuję uczuć pana, ani ich wymagam, ale potrzebuję delikatności i wymagam względów i poważania, jeżeli mam zostać pańską żoną.

— Nie uchybiłem w niczem swoim obowiązkom.

— Uchybiłeś i jeżeli masz honor, przeproś! — rzekł stanowczo prezes.

Andrzej się opamiętał. Co powie ludziom, na co ojca narazi. Zrywać w przeddzień ślubu! Przytem powstydził się, że postąpił jak gbur.

— Jestem niezdrów i zdenerwowany — przepraszam panią — rzekł, schylając głowę.

Kazia, milcząc, przyjęła przeprosiny. Chwilkę patrzała ponuro przed siebie, wreszcie szepnęła przez zaciśnięte zęby:

— Ach, gdyby nie ojciec!...

I taki był jej dziewiczy wieczor.

Nazajutrz rano, o dziesiątej, pojechali do ślubu. Za bramą spotkali furgon z jej kuframi a obok fornal Stacho siedział, odświętnie ubrany.

— Czy on jedzie do Warszawy? — spytała ojca.

— Ano tak. Urwis od tygodnia nudził mnie o to, a wczoraj prezesa uprosił. Niech jedzie, ręczę, że po miesiącu będzie się napierał z powrotem. Odeślesz mi go! Tymczasem nie było sposobu utrzymać. Prezes kupił te dwie klacze kasztanowate, i skarogniadą dla ciebie, pod siodło. Będą cię tam pieścili, dziewczyno! No, chwała Bogu!

I uśmiechał się radośnie poczciwy Szpanowski. A ona z zazdrością myślała, że Stacho wrócić może, gdy się stęsknię za polami.

W parafii, jako w dzień powszedni, kościół był prawie pusty. Babcia Boguska modliła się półgłosem, kilka kumoszek i starców drzemało po kątach.

Gdy ksiądz wyszedł do ołtarza, Andrzej podał ramię Kazi, ojcowie ruszyli za nimi, i ślub się rozpoczął.

W pustej nawie rozbrzmiewały uroczyste słowa. Andrzej machinalnie powtarzał za księdzem przysięgę, nie wiele wierzył, i uważał to wszystko za próżną ceremonię, myślą był gdzieindziej.

Zdziwił go głos Kazi, spojrzał na nią. Była biała jak ściana, wargi jej drżały, oczy miały wyraz bezmiernej żałości.

Gdy związano im ręce, zdało mu się, że umarłej dotyka. Tedy i jego objął jakiś dziwny lęk, i zastanawiał się sekundę, że ceremonia ta nie próżną jest, ale że krzywoprzysięga.

Lecz tylko sekundę. I znowu myśl zajął frasunkiem, jaką minę przyjąć w Warszawie, by uniknąć śmieszności i konceptów pani Belli i Radlicza. Będą na dworcu niezawodnie i pójdą stamtąd wprost na Erywańską, ze szczegółowem sprawozdaniem.

A tu ksiądz, który Kazię chrzcił i do Komunii przygotowywał, i lubił bardzo, wystąpił z przemową do nowożeńców. Mówił, że zakładają rodzinę, ognisko nowe, które powinno świecić i ogrzewać, być przykładem cnót i miłości. Że wiążą się dozgonnym ślubem na złą i dobrą dolę, by nawzajem dla siebie być pociechą, pomocą, opieką i wspomożeniem, a dziatki chować na dobre sługi wiary i społeczeństwa.

Szpanowski i prezes rozrzewnili się, Andrzej w ziemię spuściwszy oczy, satyrycznie się uśmiechał, Kazia osłupiałym wzrokiem patrzała, nic nie słysząc, i nie rozumiejąc, babcia Boguska smutno kiwała głową. Nareszcie ksiądz błogosławieństwem zakończył, a Andrzej podał ramię Kazi i wyprowadził ją z prezbiteryum.

Tedy ona nareszcie oprzytomniała, i wysunąwszy rękę, poszła do babci Boguskiej i dłonie jej ucałowała. Staruszka nad jej głową nakreśliła krzyż i z cicha wyszeptała ostatnie pożegnanie.

— Duszy nie zmień, dziecko, duszy nie zmień, zachowaj ją zdrową.

Andrzej, pozostawiony sam, patrzał na to z widocznym niesmakiem.

— Zaczyna się melodramat! — pomyślał. — To szczęście, że mnie nikt ze znajomych nie widzi. Głupia pozycya!

Kazia trzymała w ręku pyszny bukiet, dar prezesa, bukiet biały, ślubny. Podała go babci Boguskiej.

— Chciałabym go na grobie mamy położyć — szepnęła — ale może ojcu będzie przykro, i tym obcym nie chcę robić widowiska! Proszę go jej zanieść odemnie.

Raz jeszcze ucałowała ręce staruszki, i wróciła do Andrzeja.

— Mamy wstąpić do zakrystyi! — rzekł sucho.

— Po co? — zdziwiła się.

— Ano — ojciec nie uspokoi się, aż aktu z tej ceremonii nie będzie miał w kieszeni. Musimy przytem asystować.

Bez słowa, urażona tonem jego, poszła do zakrystyi. Ojcowie już tam byli, wesoło rozmawiając z proboszczem. Akt spisano formalnie, wyraźnie, prezes dopilnował podpisów i dat, i odetchnął, gdy papier urzędowy dostał do rąk.

Czuł na sobie ironiczny wzrok syna, ale teraz już o niego nie dbał. Teraz mu śpieszno było do domu tylko.

Powozy czekały przed kościołem.

— No, ruszajcie naprzód, my starzy za wami — rzekł Szpanowski.

Kazię zabolało serce, że ojciec już tu ją opuszcza, a on poczciwie myślał im dogodzić, by się co rychlej pozbyli świadków, i tak ruszyli ku stacyi kolejowej.

Po przez mur cmentarza widziała jeszcze Kazia babcię Boguską, składającą jej bukiet na mogile matki — i powóz wybiegł na gościniec.

Byli tedy poślubieni i sami.

— Wszystko się zmienia i modyfikuje, stosownie do potrzeb czasu i rozwoju ludzkości. Że też mogła się dotrzymać dotąd barbarzyńska ceremonia, jak śluby małżeńskie!

Były to pierwsze słowa Andrzeja.

Kazia się przeraziła. Chwilę nie znalazła odpowiedzi. Ale on odpowiedzi nie czekał, i mówił dalej:

— Wymagać, żeby ludzie przysięgali na obowiązki, których spełnić niepodobna, a potem grozić im piekłem za krzywoprzysięstwo! Co za absurd! Zresztą co religii do ludzkich rządz lub interesów! Niegdyś to może miało racyę bytu, gdy kościół był prawodawcą, policyą, sądem i poborcą podatków, a ludzie bezmyślnem stadem. Teraz to jest formą bez treści!

— Ja myślę, że gdyby tego nie było, ludzie dopiero zostaliby stadem! — rzuciła oburzona Kazia. — Żaden z reformatorów nawet tego nie tknął.

— Owszem, bo dali swobodę rozwodu.

— To i w naszym kościele jest dozwolone.

— Kosztem nowych kłamstw i fałszów. To żadne wyjście, to nowe oszustwo.

— Więc jakże inaczej być może! — szepnęła Kazia bliska rozpaczy z oburzenia.

— Małżeństwo powinno być umową dwojga ludzi. Doczesną i terminową. Doczesną, bo szał jest krótki, terminową — bo to jest interes, jak każdy inny.

— Więc pan oprócz szału i interesu, innych pobudek nie uznaje?

— Co do małżeństwa — żadnych. Rozumiem, i odczuwam miłość, ale mam ją za rzecz tak wzniosłą, że wolałbym się jej wyżec, niż szargać i pospolitować w codziennem pożyciu, w sprawach banalnych, w nędznych troskach o kuchnię, służbę, pranie i inne małostki żywota. Żadne uczucie w takiej kulturze ostać się nie

może. A ci, którzy dowodzą w podobnych warunkach miłości, tyle o niej wiedzą, co kret o gwiazdach.

Kazia zacisnęła zęby, poprzysięgając milczenie.

A zatem z jednego prześladowania dostaje się pod drugie. Przed chwilą człowiekowi temu przysięgała miłość, była pełną dobrych chęci i postanowień zacnych, teraz poczynała się burzyć, odczuwać dlań wstręt i nienawiść.

Z rozmysłem brutalnie odtrącił ją i poniewierał, by nawet nie pozostał atom porozumienia i zgody. On rad byłby dyspucie, by żółć swą wyrzucić do reszty, chwilę czekał wybuchu, cieszył się nań, wreszcie spojrzał na nią.

Twarz jej wydawała mu się obcą, tak martwą i zimną przybrała maskę, patrzała na pole i orzące pługi.

— Pani mi zaprzeczyć nie może! — rzekł ze swym przykrym, ironicznym uśmiechem.

— Nie mam ochoty. Nie chodzi mi wcale o przekonania pana, a moje teorye mam tylko dla siebie — rzekła zimo.

— Bardzom pani za to obowiązany. Właśnie tego pragnąłem! — rzucił urażony.

— Pragnienia pana będą dla mnie zasadą, nie podlegającą żadnym modyfikacyom.

Zapanowało milczenie i nie przerwali go, aż do stacyi.

I to było Kazi poślubne sam na sam.

Potem nastąpiło ostateczne rozrzewniające pożegnanie z ojcem.

Nie wiedziała, co mu rzec, nie śmiała prosić, by ją rychło odwiedził, a wiedziała, że w Górowie będzie mu nieznośnie pusto i smutno bez niej, więc tylko tuliła mu się do serca, powtarzając:

— Dziękuję, tatusiu, za wszystko. Będę pisać często, codzień, żeby mnie tatuś zawsze czuł przy sobie.

Pociąg ruszył, wyglądała doń, i ciche łzy biegły jej gradem po twarzy; pociąg był już w polu, a ona wciąż patrzała za siebie, opanowując wzruszenie i łzy, by ich tym obcym nie pokazać.

Andrzej tymczasem rozłożył gazetę i czytał, a prezes zagaił z nią rozmowę o życiu pól i domów, pytał o zboża na łanach, które mijali, potem o rozległość Górowa i o gospodarstwo wiejskie.

Po chwili uspokoiła się zupełnie, i tak gawędzili poważnie. Zaczęła pytać o ustrój domu, dowiadywać się o obowiązki gospodyni.

A tam w Warszawie oczekiwano ich niecierpliwie.

Oprócz Dąbskich wyjechał na dworzec i Radlicz z bukietem, który od kilku tygodni nieobecny Kazi jeszcze nie znał. Droczyła się z nim pani Tunia.

— Powie mi pan swoje pierwsze malarskie wrażenie. Stokroć to będzie, czy topola! Powiem panu pod sekretem: wełna — nic więcej.

— Patrzajno — zagadnął Dąbski — widzisz tę facetkę w lilia sukni i tajemniczem woalu. Coś znajomego.

Radlicz spojrzał i zachichotał.

— Nie wytrzymała! Jak babcię poważam — jest ona!

— A toć Belcia z Mazowieckiej! Czekajno, pójdę zdemaskuję ją, i dowiem się, czy ją przysłano z Erywańskiej.

Ale pani Bela wcale się nie żenowała.

— Ano tak, przyszłam, pokłóciłam się z Cesią i jestem. Ginę z ciekawości, nie mogłam wytrwać, wykradłam się. Ona, mniejsza, ale jego minę zobaczyć. To będzie kolosalnie zabawne! Jak pan myśli, czy przyjdzie on do nas jutro?

— A pani Celina, jak myśli? — zaśmiał się.

— O, ta nie wątpi! Ona jest tak pewna siebie, jakby była mężczyzną.

— Przepraszam, ja jestem mężczyżną, ale wobec pani zupełniem siebie nie pewny!

Potrąciła go parasolką.

— Cicho, jestem zupełnie tamtymi przejęta. Słyszy pan? sygnałują! — i wypadła na platformę.

Pociąg wchodził na stacyę. Pani Bella dotarła wprost wagonu pierwszej klasy, i doznała rozczarowania. Ujrzała obok prezesa dziewczynę smukłą, szykownie ubraną, bardzo powściągliwą w ruchach i słowach, zupełnie nie śmieszną i nie dziwaczną, a za nią Andrzeja, ze zwykłym wyrazem twarzy, zajętego zdawaniem tragarzowi ręcznych pakunków.

— No i nic! — pomyślała pani Bella z desperacyą. Warto było robić „esklandrę“!

Oni tymczasem powitali Dąbskich, i poszli gromadką ku powozom. Nic nie było zabawnego, chyba Radlicz, który dreptał obok panny młodej, i tak łakomie jej się przypatrywał.

Sanniccy wsiedli do swego powozu, Dąbscy zabrali ze sobą malarza. Pani Bella bardzo zawiedziona ruszyła ku doróżce! Nic nie było, nic, nic, o czemby warto było wspomnieć.

Pani Tunia zagadnęła Radlicza:

— No i cóż! stokroć, czy topola?

Malarz chwilę myślał, i wbrew zwyczajowi nie drwił.

— Ani jedno, ani drugie! A przecie przypomniała mi kwiat! Wie pani jaki? Wrzos! Znam takie wrzosowiska w kwiecie. Zdrowie od nich idzie, i robią wrażenie czegoś bardzo subtelnego, a silnego.

— Ona ma taki wdzięk nie świetny, nie pozorny. Cichutka, skromniutka, bez blasków, barw, form okazowych, taka gałązka koralowa, osypana drobniutkiem kwieciem, łagodnej barwy, a kształtów nadzwyczaj ślicznych, gdy się im przyjrzeć uważnie!

I nie zwiędnie to i nie osypie się. Zdrowe i silne! Podobała mi się okrutnie. Zarazbym się z nią żenił! Jak babcię poważam!

— A do ciebie co przystąpiło! — zdumiał się Dąbski.

— Nasz humorysta, w elegii! — śmiała się pani Tunia. Ten sonet o wrzosie obejdzie Warszawę! To panu ja zapowiadam! I żeniłby się — nie, to zbyt zabawne.

Ale Radlicz naprawdę był oczarowany.

— Żeniłbym się! Naturalnie! A rycerzem jej zostaję od dzisiaj, i oprócz wrzosu, nie noszę innego kwiatu, i będę ją malował całe życie!

— Jednakże uchwyciłeś dobrze jej wyraz. Prosta i zdrowa! — rzekł Dąbski. Szkodka jej dla takiego Andrzeja, bo ten się na tem nie pozna. Jest przecywilizowany!

Kazia stanęła u progu nowego życia.

Nikt jej tam chlebem i solą nie powitał, ani ujrzała życzliwej twarzy.

Janowa, żona kamerdynera, gospodyni kawalerska obu Sanickich, patrzała na nią, jak na postrach i kontrolę; jej małżonek, pewny swej władzy i zasług, był sztywny i dość nawet lekceważący, reszta służby wyzierała z głębi sieni, mało się o nią troszcząc. Znali zbyt dobrze zakulisowe sprawy.

Mieszkanie było przystrojone, urządzone, jak z igły, pełno kwiatów, ale Kazię odrazu przejął wstrętem charakterystyczny zaduch warszawskich domów, mieszanina naftaliny, gazu i gutaperki; i duszno jej się zrobiło w pokojach, pełnych mebli i cacek, ocienionych zbytkowemi firankami i portyerami.

Prezes oprowadzał ją po mieszkaniu. Na parterze mieli dwa salony, jadalnię, jego sypialny, i gabinet do przyjęć oficyalnych. Na piętrze młoda para miała dla siebie pięć pokoi.

Zbytek i elegancya apartamentu nie zrobiły na Kazi wrażenia, dopiero na widok szaf, pełnych książek w gabinecie prezesa, uśmiechnęła się radośnie.

— O! co za rozkosz! Tyle do czytania! — rzekła.

Potem ucieszyła się fortepianem, ale nie śmiała dotknąć go, i zobaczywszy w swej sypialni kufry z wyprawą i własne mebelki, pomyślała:

— Tu się po swojemu urządzę! Będę miała na jutro zajęcie! I ta myśl była najprzyjemniejszą.

Była jednak tak zmęczoną, że na długie rozmyślanie nie stało czasu. Zasnęła twardo, bez snów i marzeń, jak zasypiała wśród swych pól, po znojnym dniu.

Nazajutrz równo ze świtem się zbudziła, siłą długiego przyzwyczajenia, i długą chwilę nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Ciężkie wozy toczyły się po bruku, łoskotem żelaza napełniając powietrze, ale słońce nie zaglądało jej w okno, jak w Górowie, ani ptaszząt słychać nie było.

Zerwała się i poczęła rozmyślać. Zbytkowny pokój wydał się więzieniem, życie nieznośnem bez pracy.

Ubrała się spiesznie, i zeszła na dół. Wszędzie cisza, i służba i panowie jeszcze spali.

Kazia wróciła na górę, i uważnie, by nie zbudzić nikogo, poczęła swe kufry wypakowywać. Parę godzin jej tak zeszło, zanim lokaj nie zaczął sprzątać salonów. Zdziwił się i przeraził, gdy ją ujrzał ubraną, i zaalarmował suteryny. Zjawił się Jan zaspany, wreszcie jego małżonka z kluczami.

— Czy jaśnie pani dzisiaj je weźmie? — spytała kwaśno.

— I owszem, zaraz! — odparła.

— To może i kucharka ma przyjść do jaśnie pani?

— Naturalnie.

— Wedle rozkazu, tylko ja już odpowiedzialna nie będę, jeśli się panom nie dogodzi! — odparła Janowa, nie tając niezadowolenia, i składając pęk kluczy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Cała noc niemal zeszła na gawędzie przerywanej i wiązanej na nowo. Rozchodzono się i po żegnawszy wracano znowu. Zastawiono wieczerzę, ale mało kto ją tknął, poiło i karmiło żywe słowo. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z sakwy podróżnych pamiątek dobywał, co miał najdroższego, wszystko swoje tak się wydawało zajmującem.

Karól, który powrócił rychło, więcej się przysłuchiwał niż mówił.

Każdy z nich był z innego kąta szerokiej ziemi polskiej rodem, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko Litwin, z Brzeskiego długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór, króla, Czartoryskich i wielu owego wieku ludzi, od których z goryczą w sercu uszedł dobrowolnie. Pułaskiemu śniło się zawsze Podole i Ukraina, trochę kozacza, nieco szlachecka, taka, jaką dziś już znaleźć chyba można na pomniku w Ławrze kijowskiej, w ruskim nagrobku Konstantyna Ostrogskiego, sławiącym jego zwycięstwa nad Moskwą.

Rogowski rodzinę miał w Wielkopolsce i Kujawach rozproszoną; Karola ojcowizna była w Krakowskiem. Oni razem przedstawiali niemal cały obszar ziem rzeczypospolitej, która się teraz rozpadała pod nożem, a szczepiono jej starannie niechęć bratnią, żeby się bujno rozrosła.

Nieprzyjaciele poczęli już wówczas rzucać nasiona niezgody między szlachtą a ludem, pomiędzy Polską a Rusią, między wiarą a wiarą, dworem i narodem, królem a krajem, panami i służbą, duchowieństwem a świeckimi... złe to ziarno podlewał szatan, aby w owoce przerosło.

Choroba też społeczna z wycieńczenia i bez rządu dopomagała do rozkładu, na którego pognoju miał ten chwast wybujać... Rozkład ów pomagał do rozszarpania i zniszczenia tego, co wieki z wolą Bożą, miłością i przymierzem bratniem spoiły.

Ludzie ci ze czterech kończyń Polski, jakby się w jednej kołysali kolebce — obyczajem, językiem, podaniami, duchem się zrastali.

Późno w noc, gdy nareszcie szli na spoczynek, Rogowski pochwycić mógł Karóla.

— Bracie, dobrodzieju! — zawołał, — teraz dopiero tryumf cię czeka, gdy wystąpisz z wilią! Generał sam mnie prosił, zaklinał, ażeby skąd wziąć to wziąć, a przyjęcie gościowi sprawić świetne.. Ale... powiedzże skąd ty grosza dostałeś?

Karol się zarumienił.

— No — miałem tam coś — rzekł — to moja rzecz... dosyć, że nie zabraknie, tylko czyście nie wyśpiewali już o wilii?

— Uchowaj Boże — nic a nic...

— No, to dobrze...

— Ale czy będzie dobrze?

— O ile z murzynem, zamiast mazura polską wilią można zgotować — odpowiedział Karól, ruszając ramionami. — Co za szkoda, że człowiek nic się nie domyśla co go czeka! Gdybym był w Skale lepiej się kuchni przypatrywał i przeczytał sekreta kucharskie z książki matczynej!

— No jadło tam jak jadło! — zawołał Rogowski, — byle przez gardło przelazło — ale cóż z opłatkiem?

— W tem, jak wiecie, była trudność największa — po cichu rzekł Karól — a przecież i to, co nieprzezwyciężonem się zdawało, zwyciężyłem! Wiecie, że jeździłem do Lamberton, szukając księdza Francuza... Ledwiem tam o niego dopytał, ale oznajmiwszy mu się jako Polak i katolik, zostałem dobrze przyjęty. — Przyznał mi się, że był kapłanem i mszą świętą odprawiał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Odczytajmy jak najciszej każda po kolei ten list, przerwała królowa, abyśmy wszystkie jego wyrazy dobrze pamiętały.

I znowu wszystkie czytały oczami, lecz kończąc czytanie, usłyszały, że otwierały się drzwi ich pokoju. Obie księżniczki obróciły się, królowa tylko pozostała w tej samej postawie, ale przez mimowolne prawie poruszenie poniosła liścik do głowy i wsunęła go między włosy.

Wszedł jeden z urzędników.

— Co pan żądasz? zapytały obie razem księżne.

— Hum! — rzekł urzędnik. — Uważam, że dziś bardzo długo czuwacie.

— Czyż więc gmina wydała nowy rozkaz stanowiący o której godzinie mam się udawać na spoczynek? — z właściwą sobie godnością zapytała królowa.

— Nie, obywatelko — odpowiedział urzędnik — ale skoro tego potrzeba, rozkaz taki nastąpić może.

— Tymczasem mój panie — rzekła Marya Antonina — szanuj jeżeli nie pokój królowej, to przynajmniej pokój kobiety.

— Zaprawdę te arystokratki przemawiają takim tonem, jakby jeszcze co znaczyły — mruknął urzędnik.

Jednak wyszedł upokorzony ową godnością, tyle w dniach powodzenia wyniosłą, i tyle trzema laty cierpień ułagodzoną.

W chwilę później zagasła lampa i jak zwykle wszystkie trzy kobiety rozebrały się po nocy, kryjąc wstyd swój w ciemności.

Nazajutrz o dziewiątej z rana, królowa przeczytawszy, zakryta firankami łóżka, list wczorajszy, aby w niczem nieodstąpiła od wskazanych w nim instrukcyi, podarła go w niedojrzane prawie kawałeczki, ubrała się za firankami i obudziwszy siostrę, przeszła do córki.

W chwilę potem wyszła i przywołała służbowych urzędników.

— Czego żądasz, obywatelko? — zapytał jeden z nich stojąc w progu, podczas gdy drugi nie przerwał nawet swego śniadania aby pospieszyć na wezwanie królowej.

— Panie — rzekła Marya Antonina — przychodzę z pokoju córki, która w istocie jest mocno słaba. Nogi jej popuchły, bo się bardzo mało przechadza. Wiadomo panu, że sama skazałam ją na tę nieruchomość. Wolno mi było przechadzać się po ogrodzie, ale że musiałam iść obok pokoju w którym mąż mój mieszkał za życia swego, w chwili więc gdym drzwi te ujrzała, zabrakło mi serca, nie miałam siły i poprzestałam na przechadzce po tarasie. Teraz przechadzka ta nie wystarcza dla zdrowia biednej mojej córki, proszę cię więc, obywatelu urzędniku, proś w mojem imieniu jenerała Santerre, aby mi dozwolił korzystać z dawniejszego pozwolenia; będę ci za to wdzięczna.

Królowa powiedziała to głosem tak miłym i zarazem godnym, tak dobrze uniknęła wszelkich wyrażeń mogących zranić republikańską skromność urzędnika, że ten choć wszedł do niej w swej czerwonej czapce, bo tak po większej części czynili wszyscy, uchylił jej nieco i gdy skończyła, ukłonił się mówiąc:

— Bądź pani spokojna, będę się domagał u jenerała Santerre pozwolenia, którego żądasz.

A wychodząc, jakby dla przekonania sam siebie że ulega raczej słuszności niż słabości dodał:

— Słusznie, w rzeczy samej, bardzo słusznie.

— Co słusznie? — zapytał drugi urzędnik.

— Aby ta kobieta przeszła się z swą chorą córką.

— Czegóż więc żądała?

— Prosi aby mogła zejść na przechadzkę do ogrodu.

— Ba! niech żąda aby mogła iść piechotą z Temple na plac Rewolucyi, to się przejdzie.

Królowa usłyszawszy to zbladła; lecz z słów tych zaczerpnęła odwagi do przygotowującego się wielkiego wypadku.

Urzędnik skończył śniadanie i szedł na dół. Królowa również prosiła o swoje i przyniesiono je do jej pokoju.

Królewska córka, dla potwierdzenia wieści o chorobie pozostała w łóżku, matka i księżna Elżbieta siedziały przy niej.

Santerre, jak zwykle, przybył o jedenastej. Przybycie jego oznajmiło odgłos bębnów, wejście nowego batalionu i nowych urzędników, którzy przyszli zmienić wczorajszych służbowych.

Skoro Santerre przejrzał batalion wchodzący i wychodzący, skoro poparadował na swym ciężkim koniu na dziedzińcu w Temple, zatrzymał się na chwilę, w której zwykle dawał posłuchania, przyjmował denuncyacye i załatwiał rozmaite żądania.

Urzędnik korzystając z sposobności przystąpił ku niemu.

— Czego chcesz? — opryskliwie zapytał go Santerre.

— Obywatelu — rzekł urzędnik — przychodzę oznajmić ci w imieniu królowej...

— Co to jest, królowa? — przerwał Santerre.

— Ach! prawda — odrzekł urzędnik zdziwiony sam, że się tak dalece zapomniał. — Cóż ja znowu mówię? Czym oszalał? Przychodzę więc oznajmić ci w imieniu pani Veto...

— Ach! tak, to co innego — przerwał znowu Santerre — teraz rozumiem. No! cóż mi przychodzisz oznajmić? mów.

— Przychodzę oznajmić ci, że mała Veto chora, jak się zdaje z powodu braku powietrza i ruchu.

— I cóż! czyż jeszcze i o to mam się udawać do narodu? naród pozwolił jej przechadzać się po ogrodzie, odmówiła, dobranoc.

— Właśnie też, teraz żałuje tego i prosi abyś jej zejść pozwolił.

— Nie mam w tem nic trudnego. Hej słyszycie! — rzekł Santerre do batalionu. Wdowa Kapet zejdzie przechadzać się po ogrodzie. Naród na to pozwala; ale pilnujcie aby przez mur nie uciekła, bo wszystkim wam łby poucinać każę.

Homerowskim śmiechem przyjęto ten żarcik obywatela jenerała.

— A teraz kiedym was już o tem uprzedził — rzekł Santerre — bądźcie zdrowi. Jadę na konwencyą. Zdaje się że schwytano Rolanda i Barbarona i że idzie o wydanie im paszportu na tamten świat.

Ta wiadomość uczyniła obywatela jenerała tyle żartobliwym.

Santerre ruszył galopem.

Za nim pociągnął batalion schodzący z warty. Nakoniec urzędnicy ustąpili miejsca nowoprzybyłym, którym Santerre pozostawił instrukcye dotyczące królowej.

Jeden z nich poszedł do Maryi Antoniny i zawiadomił ją o decyzyi jenerała.

Królowa podziękowała urzędnikowi i spostrzegła, że córka jej dziękując mu, poczerwieniała, siostra zaś myślą dziękowała Bogu.

O! — pomyśliła patrząc w niebo przez okno — czyliż gniew Twój Panie uśmierzyć już raczyłeś, czyż już straszna Twa prawica przestanie ciężyć na nas?

— Dziękuję panu — rzekła do urzędnika z owym czarownym uśmiechem, który zgubił Barnav'a, a za którym tylu szalało — dziękuję!

Potem obróciwszy się do małego pieska, który na tylnych łapkach skakał obok niej, bo z oczu pani poznał że dzieje się coś nadzwyczajnego.

— Chodź, Black — rzekła — pójdziemy na przechadzkę.

Mały piesek zaczął skomleć i skakać, i spojrzawszy na urzędnika, zrozumiał zapewne, że ten to człowiek przyniósł jego pani tyle pomyślną wiadomość, bo zbliżył się ku niemu czołgając i długim swym ogonkiem wywijając, a nawet ośmielił się z nim popieścić.

Człowiek ten może byłby pozostał nieczułym na prośby królowej, ale wzruszyły go przymilania psa.

— Dla samego tylko zwierzątka tego, obywatelko Kapet, powinnaś była częściej wychodzić — rzekł. — Ludzkość nakazuje opiekować się wszelkiem stworzeniem.

— A o której godzinie wyjdziemy, mój panie? — spytała królowa. — I pan zapewne sądzisz, że w samo południe słońce najlepiej na nas działać będzie.

— Wyjdziesz obywatelko, kiedy zechcesz — odpowiedział urzędnik — w tym względzie nie mamy wyłącznego polecenia. Jednak, skoro chcesz wyjść w południe, tem lepiej, zmieniają się w wówczas placówki, nie tyle więc będzie ruchu w wieży.

— Dobrze, o południu, zgoda! — rzekła królowa kładąc rękę na zbyt mocno bijącem sercu.

— I spojrzała na człowieka tego, który zdawał się nie tyle być przykrym co jego współto-

warzysze, a który w nagrodę powolności swej dla żądań uwięzionej, straci może życie w walce jaką przygotowali spiskowi.

Atoli w chwili gdy litość zmiękczyć miała serce kobiety, obudziła się dusza królowej; pomyślała ona o 10-m sierpnia i o trupach przyjaciół swych tarzających się po kobiercach jej pałacu. Pomyśliła o 2-m września i o głowie księżnej de Lamballe zatkniętej na ostrzu dzidy przed jej oknami. Pomyśliła o 21-m stycznia i o swym małżonku ginącym na rusztowaniu przy odgłosie bębnów słowa jego zagłuszającym. Nakoniec wspomniała na syna, na to nieszczęśliwe dziecię, którego krzyki słyszała nieraz w swym pokoju, a nie mogła mu przyjść w pomoc i na te myśli serce jej stwardniało.

— Niestety! — poszepnęła — nieszczęście jest jak krew hydr starożytnych; użyźnia ono rolę pod nowe nieszczęścia.

XI.

Black.

Urzędnik wyszedł dla przywołania swych towarzyszy i odczytania raportu o dniu wczorajszym złożonego przez odeszłych urzędników.

Królowa pozostała wraz z siostrą i córką.

Naprzód wszystkie trzy spojrzały po sobie. Potem królewska córka rzuciła się w objęcia matki, a księżna Elżbieta podała jej swą rękę.

— Módlmy się, módlmy tak jak stoimy, rzekła królowa, aby nikt nie domyślił się naszej modlitwy.

Są okrutne chwile, w których modlitwa, ten hymn naturalny, który Bóg wlał w serce człowieka, staje się podejrzanym w oczach drugich, bo modliwa jest to akt nadziei lub wdzięczności.

— Jakoż nadzieja lub wdzięczność królowej wzniecały zawsze niespokojność w jej ceklarzach, królowa bowiem jednej tylko ucieczki spodziewała się, i za samo tylko nastręczenie jej srodków ku ucieczce, Bogu dziękować mogła.

Skończywszy tę ustną modlitwę, wszystkie trzy kobiety najgłębsze zachowały milczenie.

Wybiła nakoniec dwunasta.

W chwili gdy umilkł ostatni dźwięk zegaru, na schodach dał się słyszeć odgłos broni i doszedł aż do jej uszu.

— Oto już zmieniają placówki — rzekła — wkrótce przyjdą po nas.

A widząc, że siostra jej i córka zbladły.

— Odważnie — dodała bledniejąc samą,

— Już południe! — zawołano z dołu. — Wypuścić uwięzione.

— Oto jesteśmy moi panowie — odpowiedziała królowa, z niejakim nawet żalem rzucając ostatnie pożegnalne spojrzenie na te czarne mury, na te liche meble, jedyne towarzyszki jej niewoli.

Otworzyły się pierwsze drzwi wiodące na korytarz, w którego ciemności uwięzione ukryły swe wzruszenie. Mały Black biegł naprzód. Lecz gdy przybyły do drugich drzwi, tych właśnie od których Marya Antonina wzrok swój odwrócić pragnęła, wierne zwierzę przyłożyło swój pyszczek do gromnych ćwieków jakiemi były nabite, a kilka razy żałośnie zaszczekawszy, długo i boleśnie zawyło. Królowa szybko przeszła nie mając siły aby przywołać pieska wreszcie oparła się o ścianę.

Nogi wymówiły jej posłuszeństwo musiała stanąć. Siostra i córka zbliżyły się ku niej i przez chwilę wszystkie trzy nieruchome tworzyły bolejącą grupę.

Wreszcie przybiegł i mały Black.

— I cóż — zawołał głos — schodzi ona czy nie?

— Jesteśmy — rzekł urzędnik, który również stanął szanując tę boleść tak wielką w swej prostocie.

— Pójdźmy — rzekła królowa, i ruszyła dalej...

Gdy przybył na koniec kręconych schodów, na prost ostatnich drzwi, przez których szczeliny słońce ciskało szerokie wstęgi złotego światła swojego, dał się słyszeć odgłos bębna przywołującego wartę. Potem nastąpiło głębokie milczenie wywołane ciekawością i otworzyły się ciężkie drzwi skrzypiąc na swych zardzewiałych zawiasach.

Jakaś kobieta siedziała a raczej leżała w framudze przyległej tym drzwiom. — Była to stara Tison, której królowa nie widziała od dwudziestu czterech godzin, dziwując się mocno wczoraj wieczór i dziś rano tej nieobecności.

Królowa widziała już dzienne światło, drzewa, ogród i po za kratką otaczającą ogród chciwem okiem szukała hatki w której przyjaciele czekali na nią bez wątpienia; w tem na głos jej kroków stara Tison rozłożyła ręce, a królowa spostrzegła jej twarz bladą, schorzałą i jej siwe włosy.

Królowa znalazła ją tyle zmienioną, że stanęła. W ówczas stara z właściwą obłąkanym powolnością przyczołgała się do drzwi i klęknąwszy zatamowała drogę Maryi Antoninie.

— Czego pragniesz moja poczciwa? — spytała królowa.

— On powiedział że potrzeba abyś mi przebaczyła.

— Kto taki? — spytała królowa.

— Człowiek w płaszczu — odrzekła stara.

Królowa zdziwiona spojrzała na księżnę Elżbietę i córkę.

— No, no — odezwał się urzędnik — przepuść wdowę Kapet; pozwolono jej przechadzać się po ogrodzie.

— Wiem o tem — mówiła stara — dlatego też czekałam tu na nią: nie chciano mię wpuścić na górę, a że powinnam prosić ją o przebaczenie, musiałam więc czekać koniecznie.

— Dla czego to nie chciano cię wpuścić — zapytała królowa.

Stara Tison uśmiechnęła się.

— Bo oni utrzymują żem szalona! — rzekła.

Królowa spojrzała na nią i w istocie w oczach tej nieszczęśliwej dostrzegła dziwny jakiś połysk, i ten blask szczególny świadczący o nieobecności myśli.

— O mój Boże! — zawołała, cóż ci się stało biedna kobieto?

— Co mi się stało! alboż nie wiesz? — mówiła stara — ale owszem, wiesz dobrze, bo z twojej to winy skazano ją...

— Kogo?

— Heloizę.

— Twoją córkę!

— Tak — moją biedną córkę.

— Skazano — ależ kiedy? — jak? — za co?

— Bo to ona sprzedawała bukiet...

— Jaki bukiet?

— Bukiet goździków. — A jednak ona nie jest kwiaciarką — mówiła znowu stara Tison niby zbierając myśli — jakże ona mogła sprzedawać ten bukiet?

Królowa zadrżała. Niewidzialny węzeł spajał tę scenę z obecnem położeniem rzeczy; królowa zrozumiała, że nie powinna tracić czasu na próżnej rozmowie.

— Moja poczciwa — puść mię — proszę — później mi to wszystko opowiesz.

— Nie — natychmiast musisz mi przebaczyć; muszę ci dopomódz do ucieczki — a on ocali moją córkę...

Królowa zbladła jak martwa.

— O Boże! — szepnęła wznosząc ręce ku niebu.

A potem obracając się do urzędnika dodała:

— Panie chciej usunąć tę kobietę; widzisz przecie że obłąkana.

— No — no — matko — rzekł urzędnik — ustąp.

Ale stara Tison uchwyciła się muru. — Nie! — zawołała — ona musi mi przebaczyć, a on musi mi ocalić córkę.

— Ale któż to taki?

— Człowiek w płaszczu.

— Moja siostro — powiedziała księżna Elżbieta — pociesz ją kilku słowy.

— O! najchętniej — rzekła królowa. W istocie, sądzę, że to będzie najlepiej.

— Czego żądasz, poczciwa kobieto? — mów!

— Żądam, abyś mi przebaczyła wszystko, coś przeze mnie wycierpiała, wszystkie moje obelgi, wszystkie moje denuncyacye i skoro zobaczysz człowieka w płaszczu, abyś mu rozkazała ratować mą córkę, bo on uczyni wszystko, co zechcesz.

— Nie wiem — kogo rozumiesz przez człowieka w płaszczu — odpowiedziała królowa, ale jeżeli dla spokojności sumienia twego potrzebujesz, abym ci przebaczyła zniewagi, jakie mniemasz, żeś mi wyrządziła, oh! z głębi duszy mojej, przebaczam ci nieszczęśliwa! a przebaczam szczerze i bodaj mi tak samo przebaczyli wszyscy, których kiedy obraziłam!

— O! — z nieopisaną radością zawołała stara Tison — on więc ocali moją córkę, bo mi przebaczyła. Daj mi twą rękę, pani, daj mi twą rękę!

Zdziwiona królowa nie pojmując tej sceny, podała jej swą rękę, którą stara Tison z zapałem chwyciła i ucałowała.

W tej chwili na ulicy Temple dał się słyszeć ochrypły głos publicznego wywoływacza.

— Oto — wołał on — sprawa i wyrok skazujący na śmierć Heloizę Tison, za uknucie spisku.

Zaledwie te słowa odbiły się o uszy starej Tison, wnet twarz jej zmieniła się, podniosła się ona na jedno kolano i rozpostarła ręce, aby zamknąć drogę królowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Nieśmiałe dzieci.

Lubię bardzo nieśmiałe, a nawet bojaźliwe dzieci; w każdym razie wolę takie, jak zanadto krzykliwe i narzucające się. Tak to prawdziwe po dziecinnemu naturalne, nieśmiałe dziecko, uciekające się pod opiekę matki lub ojca, a tak nie po dziecinnemu, jeśli się nikogo i niczego nie boi i nie wstydzi! Nieśmiałe z pozoru, bogatsze bywają w uczucie i fantazyę. A uczucie i fantazya nie są rzeczami, które sztucznie wywołać można. Trzeba to zostawić czasowi, a postępować z dzieckiem łagodnie i umiejętnie.

Nieśmiałe dzieci są jak ptaszki; przy obcych, cichutko siedzą, a kiedy się czują swobodnemi zaczynają wesoło szczebiotać. Wszystko dobre wyrasta z ciszy. Cieszmy się, jeśli nasze dzieci nie umieją być w każdem miejscu obcem zanadto śmiałemi. A jednak wielka część rodziców, niechętnie widzi swe dzieci powściągliwymi i nieśmiałemi Dla czego? powiedzmy sobie otwarcie: ze zarozumiałości. Bo chcemy żeby tylko nasze dziecko każdemu najbardziej się podobało, żeby je każdy kochał, a nieśmiałe nieszczególniej do tego się nadaje. Chcemy zadziwiać mądrością naszego dziecka, a myślimy, że nieśmiałe ludzie uważają za głupie; zaledwie odpowiada, a cóż dopiero jak mu każą opowiadać! Tak, gdyby to zaraz dużo gadało, obcym na kolana właziło; — to się nieniektórym matkom podoba, a przecież to nie bardzo — mądre! I tak np. jeśli chodzi o psa, to wiemy dobrze, że taki niewiele wart, który z każdym przechodniem się zaprzyjaźnia; tu wcale nie mamy bielma na oczach. Dlaczego nie cenić w dziecku, gdy trzyma się więcej rodziców, a obcego traktuje z rezerwą?

Naturalnie, przesadzona nieśmiałość, lub krzyk dziecka na widok każdej obcej twarzy, również są niedobre. Takie dzieci dla siebie i otaczających są ciężarem, i takie trzeba rozsądnem prowadzeniem umieć należycie uspokoić. Ażeby i nieśmiałe dziecko nauczyć przywitania, podania rączki, odpowiedzi na pytania, itp. drobnostek, naturalnie, jest koniecznem. Ale surowością i gwałtem, nie da się to uskutecznić, jeżeli się nie chce dzieci mieć — maryonetkami. Dziecko boi się, w obcem otoczeniu i obcych twarzy. Na to tylko jedyny rozsądny środek: musi samo poznać, że bojaźń jego nieuzasadnioną. Trzeba je brać często z sobą między ludzi, nie zmuszając go wcale do mówienia itd. Z początku przyzwyczajać je do krewnych, później do dobrze znajomych, w ostatku do obcych. Niechaj z początku tylko we własnym domu będzie zawsze między ludźmi, w zwykłem otoczeniu, następnie niech poznaje i obce otoczenie. Nie trzeba tylko przesadzać i spieszyć się z niczem. Do dobrych, uprzejmych ludzi, natura dziecięca sama da się pociągnąć. Jeżeli kryje się i ucieka przed kimkolwiek, matki rzeczą nauczyć je: np. opowiadać dziecku, że ten lub ów dzisiaj przyjdzie i cieszyć się bardzo będzie, jeżeli Minusia lub Stasio, poda mu rączkę i powie dobry wieczór.

A właściwie — zmusić dziecka do odpowiedzi i opowiadania nie może matka lub ojciec: to zależy raczej od odwiedzającego, a przyjaciela dzieci i od jego uprzejmości, ażeby umiał sobie zdobyć sympatyę dziecka; musi też taki posiadać cierpliwość i wyrozumiałość dla dzieci, nie krzywić się kiedy dzieci, bawiąc się, trochę zanadto hałasują: wszak i my byliśmy dziećmi, zapomnieliśmy o tem! A jeżeli jesteśmy przyjacielami dzieci i pragniemy je pozyskać, to instynkt nam wskaże, jakim sposobem tego dokonać możemy. Tyle jest dróg, któremi do tego dojść można! Ale tylko łagodny, może posiąść sympatyę dobrego, a dzieci — nigdy nie są złe. Tylko umieć „pierwsze lody przełamać" a przełamane zostaną, gdy dziecko samo się przekona, że bało się bez przyczyny.

Z drugiej znowu strony, jeśli nawet ktoś nie jest temu przeciwnym, że dziecko jego nieśmiałe, powinien uwagę na nie mieć zwróconą — i nie myśleć, że ono ciągle tak cichutko zachowywać się będzie. „Ciche wody brzegi zrywają" powiada stare przysłowie. Właśnie ciche dzieci, miewają bardzo bujną wyobraźnię i subtelne uczucia, które szczególnie przez czytanie namiętne przeróżnych bajek i strasznych opisów podniecane bywają do ostateczności. Dlatego też rodzicom i wychowującym nigdy za bardzo nie można polecać, by zawsze na zachowanie się dziecka oczy otwarte mieli, i nigdy nie przesadzali, tak w chęci pozostawienia go w nieśmiałości, jak w chęci uczynienia go towarzyskiem i śmiałem. Miara we wszystkiem powinna być zachowaną, a matka, rodzice, powinni, poznawszy usposobienie swoich dzieci, starać się, utwierdzać je tak w dobrem, jak wytępiać złe.

Powtarzam — samo z siebie — nigdy dziecko złem nie jest, czyni je takiem otoczenie — lub brak uwagi rodziców. *N. N.*

Praca dzieci na wsi.

Mało kto zwracał uwagę na pracę małoletnich na wsi. W miastach po fabrykach i warsztatach praca nieletnich podlega opiece prawodawczej i są tutaj pewne normy, do których każdy stosować się musi. Na wsi zupełnie jest inaczej, chociaż wieś z natury swojej stanowi środowisko, do wychowania młodego pokolenia najodpowiedniejsze. Zamiast jednak racyonalnego skierowania sił dziecięcych, spotykamy często po wsiach zjawisko, którego inaczej nazywać nie można, jak wyzyskiem pracy małoletnich. Trudno się temu dziwić wobec nizkiego poziomu kulturalnego włościanina, ale zadziwia ta obojętność warstw inteligentnych, które na stan podobny patrzą, jak na coś zupełnie naturalnego i nie dostrzegają w tem żadnego niebezpieczeństwa. Można powiedzieć, że w wielu miejscowościach dziecko na wsi jest wyjęte z pod opieki społecznej, która powinna i może wglądać we wszystkie potrzeby. W prasie rzeczy te nie były poruszane dotąd prawie wcale, z tem większem też uznaniem należy zaznaczyć głos p. *K. Proczkówny* w „Przebudzeniu“, poruszający tak ciekawy temat i oświetlenie, w jakiem przedstawia dotychczasowy wyzysk sił dziecięcych na wsi. Zaznaczamy, że p. Proczkówna pisze specyalnie o stosunkach w Królestwie Polskim.

Niewielu ludzi zastanawia się nad tem, że wciągnięcie dzieci do pracy rolnej lub zatrudnienie ich pasterstwem, grozi wyrodnieniem ludu.

Wątpliwości nie ulega, że umiarkowana praca na wsi działa dodatnio i najbardziej odpowiada naturze człowieka. Umiejętnie zastosowana w dzieciństwie zdolną jest uzdrowić całe pokolenie przyszłe. Dzieci i młodzież dorastająca mają dużo sił życiowych, które szukają niezdrowego nieraz ujścia; otóż budzące się te siły znajdują zdrowe i normalne ujście w pracy fizycznej.

Praca na wsi działa więc umoralniająco, a zarazem wychowawczo; uszlachetnia ona dziecko i rozwija jego umysł. Jednostajne i bezmyślne zajęcia w fabrykach nużą i przytępiają myśl dziecka; przeciwnie, praca na wsi pobudza do myślenia.

Lecz tak dodatnio wpływa jedynie praca umiarkowana i zastosowana do wieku dziecka. Wprost przeciwnie skutki wywiera praca nadmierna, lub dla dzieci nieodpowiednia. Taka praca szkodliwą jest bardzo pod względem umysłowym, moralnym i fizycznym.

Zajmowanie dzieci pracą fizyczną zrana przed szkołą i po powrocie ze szkoły do późnego wieczora potępione być musi ze względów pedagogicznych i hygienicznych. Dowiedzionem jest bowiem, że nawet wyłącznie *fizyczny* wysiłek męczy zarazem i umysł. Dziecko, zabrawszy się do nauki bezpośrednio po pracy fizycznej nie może mieć tej samej świeżości umysłu, co takie, które wcale nie pracowało.

Pod względem moralnym praca dzieci w polu razem z porosłymi działa na nie bardzo ujemnie. Wszyscy przyznają, że praca fabryczna szkodliwą jest dla dzieci, nietylko ze względów fizycznych, lecz i moralnych. Niebezpieczeństwo moralnego zepsucia i zdziczenia dla dzieci, które wspólnie z dorosłymi pracują na polu, wcale nie jest mniejsze, niż w fabrykach.

Statystyka kryminalna w Niemczech wschodnich wykazała, że znaczna część młodocianych przestępców rekrutuje się z dzieci, przedwcześnie zatrudnionych pracą rolną.

Pomijając wpływ otoczenia, zwróćmy uwagę na to, że ciężka praca w dzieciństwie sama przez się paczy charakter przyszłego członka społeczeństwa.

Pedagogika nas uczy, że jeżeli pozbawimy dziecko radości, zabaw i pewnej dozy swobody — które temu wiekowi słusznie się należy, otoczymy je zaś atmosferą smutku i złego obejścia, skrępujemy je twardą, systematyczną pracą, to z takiego osobnika wyrośnie człowiek zniechęcony do życia, mizantrop, a bardzo często zbrodniarz. Przestępcy młodociani wszystkich krajów nie z dzieci szczęśliwych wychodzą, lecz z tych upośledzonych, bitych, głodnych i pracą ciemiężonych od najwcześniejszego dzieciństwa.

Dom i kuchnia.

Budyń z ryżu na zimno.

Funt ryżu sparzyć dwa razy wrzącą wodą, poczem w wodzie ugotować go do miękka, ale w taki sposób, aby wszystkie ziarnka pozostały w całości. Ryż tak ugotowany rozpostrzeć na sito, aby dobrze się z wody osączył. Oddzielnie z funta cukru zrobić lekki syrop, wszystek ryż w niego złożyć, parę razy zagotować, dodać 4 łyżki stołowe araku i sok z dwóch cytryn. Formę od budyniu wypłukać zimną wodą, wszystek ryż w nią włożyć i wynieść na całą noc do piwnicy, Przy podaniu na stół, wyjęty budyń z formy, polać zimnym szodonem, który wcześniej należy przygotować, aby miał czas wystygnąć.

:: HUMORYSTYKA ::

Przyczyna.

— Jak widzę, powrócili państwo z letniego mieszkania w świetnych humorach...

— Bo udało nam się letnie mieszkanie jak nigdy.

— Więc przyszli państwo zupełnie do zdrowia?

— To nie, cherlamy jak przedtem.

— Więc córeczki poznały kogoś odpowiedniego?

— I to nie.

— To już nie widzę wcale przyczyny radości państwa?

— Wszystkich letników w tej miejscowości, okradli złodzieje do szczętu! nas tylko pozostawili cudem jakimś w spokoju; powróciliśmy w całości i z tem, cośmy z sobą zabrali z Warszawy!

— A z czegóż ty się tak do rozpuku śmiejesz?

— A z Kuby, prose łaski pana, bo mu ręka musi strasecnie gorzeć.

— Czemuż tak?

— A no wyrznuł mnie dwa razy przez pysk. Ha, ha, ha, ha!

Także pretensya.

— Szczególna rzecz, wiele cię razy spotykam zawsze wychodzisz z knajpy.

— A cóż, chciałeś, żebym nigdy ztamtąd nie wychodził?

Ona: Ja nie pójdę za mąż za barona; on ma włosy obrzydliwie rude.

Ojciec (mitygując córkę). Na Boga, dziewczyno, co chcesz uczynić?! nie zauważyłaś, że mu już wypadać poczęły?...

Dokładnie określił.

— Kiedyście się urodzili?

— Nie wiem dokładnie, panie sędzio. To musiało być mniej więcej przed 20—30 laty, kiedy moja nieboszczka matka jeszcze żyła.

Na rozdrożu.

— Nie uwierzysz jak wielką czuję chęć do małżeństwa.

— To się ożeń.

— Ba, kiedy nie znam żadnej odpowiedniej osoby.

— Żeń się bez namysłu, małżeństwo, powiadają, jest loteryą.

— Nie lubię hazardu.

— A więc staraj się poznać jaką pannę, badaj ją długo, a gdy się przekonasz, że warto...

— Jestem pesymistą, i nie wątpię, że po dłuższem poznawaniu wykryłbym wady...

— To staraj się ją poznać połowicznie...

— Lubię ścisłość, nie cierpię płytkiej powierzchowności.

— Ha, w takim razie ja ci nic nie poradzę.

— Piękny przyjaciel, ja mu się zwierzam, a on... nie rozumie, że mi samotność obrzydła.

— To cię poznajomię...

— Takie rzeczy powinno się robić bez pośrednictwa osób trzecich.

— Idź do licha.

W restauracyi pewnego zdrojowiska.

Kelner: Tu masz pan kawałek chleba z masłem, a tu bez masła.

Gość: Powiedz mi, przyjacielu, który chleb jest tutaj z masłem, a który bez masła?

Ksiądz: Panno Genowefo, mnie się zdaje, że narzeczony jej spity jest jak bela. Wszakże on o własnej sile stać na nogach nie może.

On (zataczając się, melodramatycznie wygłasza): Tak! księże proboszczu dobrodzieju! tak! jestem upity!... upojony!... a dodać mogę nawet pijany! ale... pijany miłością!!

Lajtnant (wyczerpawszy podczas przemowy, mianej do rekrutów, cały arsenał słów obelżywych, dodaje): Huncwoty! żeby z wami należycie rozmawiać, musiałbym się cały rok nic więcej tylko zoologii uczyć...

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.